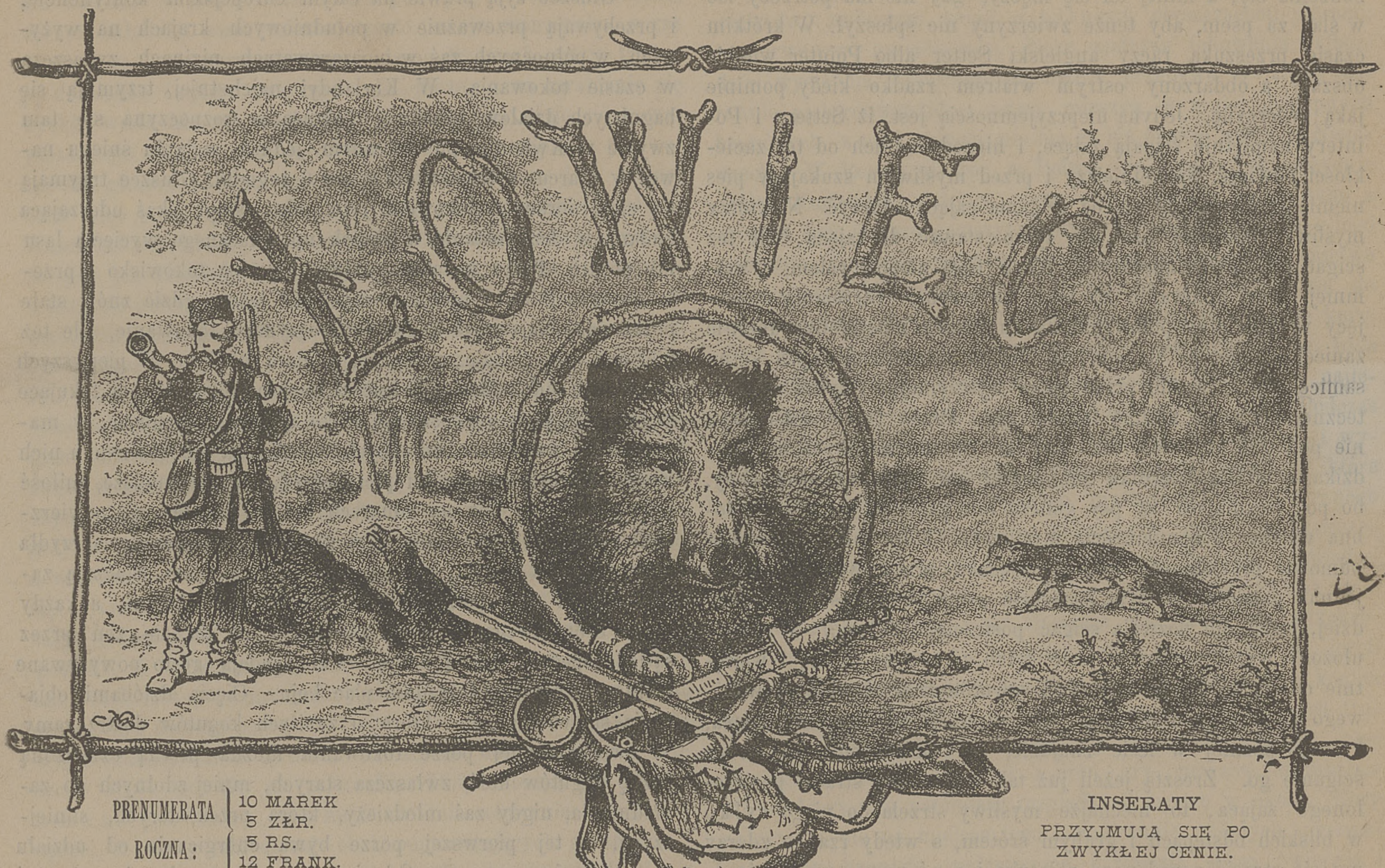
Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK 5 ZŁR. 5 RS. 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

Sprawy Galic. Towarzystwa Łowieckiego.

Dnia 11 b. m. przedstawił prezes Towarz. łow. Exc. hr. Włodzimierz Dzieduszycki Najjaśniejszemu Panu członków Wydziału tego Towarzystwa, mianowicie: wiceprezesa Dra Michała Gnoińskiego, członków: Dra Ferd. Krattera, hr. Artura Potockiego, hr. Romana Potockiego, Władysława Riegera, hr. Leopolda Starzeńskiego i Władysława Zontaka. Najjaśniejszy Pan przyjął Wydział Towarz. łow. nader łaskawie, oświadczył, iż nie wiedział o istnieniu Tow. łow. w Galicyi i jego Pisma, wyraził najwyższe zadowolenie, iż kraj nasz nawet na tem polu znajduje gorliwych pracowników, rozpytywał o nasze stosunki łowieckie i zachęcał do dalszej pracy.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Bocheński Romuald.
Krynicki Zdzisław.
Nanowski Stefan.
Stachów Karol Niesłuchowski.
Tymaczkowski Władysław Dr.

KILKA SŁÓW O PTACTWIE ŁOWNEM

PRZEZ

Barona Ferdynanda Nolde.

W celu użycia prawdziwej rozkoszy w polowaniu na ptactwo łowne, należy szukać bogatej w ową zwierzynę okolicy i dobrze ułożonego a mianowicie odpowiedniego do każdego rodzaju zwierzyny legawca, bez tych bowiem warunków będzie przyjemność myśliwska jako też łup zdobyty zawsze mierny, lub nawet wcale ubogi, chociażby wprawa i zręczność w strzelaniu były mistrzowskie. Użyłem wyżej wyrazu „odpowiedniego do różnych rodzajów zwierzyny i miejscowości“, i czuję potrzebę ów wyraz uzasadnić t. j. wskazać, które wyżły do różnych rodzajów zwierzyny i miejscowości polecić można. Na cietrzewie, głuszce, słonki i dubelty korzystniej używać psa rasy niemieckiej. Jest on zwykle spokojniejszy i łatwiej da się przyuczyć do bliskiego szukania przed myśliwym, co przy cietrzewiach i słonkach jest nader ważnem. Polując na kuropatwy, a nawet na kurki wodne, które chętnie w bezdrzewnych moczarach przebywają, z lepszym skutkiem używane bywają daleko zapędzające się przy szukaniu angielskie Settery i francuskie Pointery zwłaszcza, jeżeli one długo przy wystawianiu wytrzymują i myśliwemu dosyć pozostawiają czasu do

zbliżenia się, a mniej on się męczy, gdy nie ma potrzeby iść w ślad za psem, aby tenże zwierzyny nie spłoszył. W krótkim czasie przeszuka rączy angielski Setter albo Pointer wielkie obszary, a obdarzony ostrym wiatrem rzadko kiedy pominie jaką zwierzynę. Jedyną nieprzyjemnością jest, iż Settery i Pointery namiętnie ścigają zające, i niepodobna ich od tej zaciekłości odwieść. Spokojniejszy i przed myśliwym szukający pies niemiecki łatwiej da się od ścigania zająca oduczyć. Niektórzy myśliwi pozwalają psu nie tylko stawać do zająca, ale też ścigać go, dusić i aportować. Wcale tego niepochwalam, a najmniej przy polowaniu na lotną zwierzynę. Strzelania do zajęcy w polu przy polowaniu na kuropatwy należałoby zupełnie zaniechać, spotyka się bowiem tam po największej części kotne samice, które twardo przed psem wytrzymują, i tylko w ostatecznej potrzebie kotlinę opuszczają. Przed 1ym Października nie powinno się właściwie strzelać do zająca chyba do młodzika, a od Października już wyżeł na zająca nie potrzebny, bo pożyteczniejsze są psy gończe lub nagónka. Ale niepodobna walczyć z namiętnością myśliwego, który nie może sobie odmówić przyjemności ubicia zajączka przed wyżłem, niech jednak pamięta, iż tym sposobem psuje swego psa, a najbardziej, jeżeli mu pozwala ścigać postrzelone i dusić. Wzorowo ułożony wyżeł powinien znać tylko zwierzynę lotną, i wstrętnie odwracać się od wszelkiej czworonożnej, bo dla prawdziwego myśliwego mniejszem jest utrapieniem stracenie zająca, którego później w lesie znajdzie, jak znarowienie psa przez ściganie go. Zresztą jeżeli już tak ciężko boli stracić postrzelonego zająca, to niechajże myśliwy strzela do niego tylko w bliskich odstępach i grubym śrótem, a wtedy rzadko zdarzy mu się stracić pożądanego zajączka i psuć swego wyżła nieodpowiednią dla niego hecą.

Lecz za daleko mnie ów przedmiot odwiodł od właściwego celu, wracam więc do polowania na lotną zwierzynę, a oparty na długoletniem doświadczeniu określę, jak je urządzać, jak ową zwierzynę szanować i strzelać należy. Powinienbym rozpocząć od największego z tych ptaków, od dropia, pominę go wszakże, sposoby bowiem polowania nań mało mi są znane. W mojej ściślejszej ojczyźnie Kurlandyi, nie ma właściwie wcale dropia, chyba zjawi się jakiś pojedyńczy zabłąkany egzemplarz jako niesłychana rzadkość. Miałem sposobność widzenia i badania dropia tylko w okolicy Berlina. Wiele ich znajduje się w południowej Rosyi, w Rumunii i nadgranicznych krajach, i strzelane bywają przed legawcem, szczególnie kury i młode dropie, które w pewnej porze a szczególnie podczas skwaru południowego twardo przed psem wytrzymują. W niektórych okolicach polują na dropie z chartami, co wszakże udaje się tylko, gdy przymrozek lub gęsta mgła utrudnia dropiom podnoszenie się z ziemi do lotu. W takim razie drop wprzód biegnie, nim się wznieść zdoła, i wtedy tylko rączy chart go doścignie. Podjazd na wozie chłopskim prowadzi także zwykle do celu. również polowanie z nagónką dobrze urządzone, nader bowiem płochliwe dropie trzymają się w locie pewnych ściśle oznaczonych miejsc, gdzie też ustawiony myśliwy na strzał je dostaje. Na podchodnem należy użyć sztućca, z nagónką strzelby śrótem nabitej. Kury zwłaszcza w porze lęgu trzeba ochraniać i szanować, wracają one bowiem zawsze do stale obranych lęgowisk. Tyle tylko o największym i najcięższym z europejskich ptaków, — przechodzimy teraz do następującego po nim w rzędzie, do głuszca. Dodać jeszcze tylko winniśmy, iż wyrosły stary samiec drop dosięga czasem 30 funtów wagi, gdy przeciwnie stary kogut głuszec rzadko kiedy więcej jak 12 funtów waży.

Głuszce żyją prawie na całym europejskim kontynencie, i przebywają przeważnie w południowych krajach na wyżynach, w północnych zaś w moczarowatych nizinach, zwłaszcza w czasie tokowania. W Kurlandyi najchętniej trzymają się bagnistych działów leśnych. Tokowanie rozpoczyna się tam zwykle w Kwietniu, po wczesnem jednak stajaniu śniegu nawet w Marcu, a trwa około 5 do 6 tygodni. Głuszce trzymają się stale obranych tokowisk, jeżeli nie nastąpi jakaś uderzająca zmiana w drzewostanie w skutek np. znacznego wycięcia lasu lub pożaru. Tylko w takim razie opuszczają tokowisko i przelatują w najbliższy nienaruszony dział leśny, gdzie znów stale pozostają. Najstarsze koguty rozpoczynają tokowanie, ale też pierwsze przycichają, ustępując miejsca młodym. W pierwszych 14 dniach nie nadciągają jeszcze kury na tokowiska, a tokujące koguty zdają się rozkoszować tylko w swych pieniach, w marzeniach i nadziejach miłośnych, spostrzega się bowiem u nich wtedy, mimo nieobecności płci pięknej, najuciesznieisze, miłość wyrażające pozy tak na konarach drzew, jakoteż na powierzchni ziemi. Ogon podnoszą w kształcie wachlarza, skrzydła spuszczają jak indyki, i drżąc wleką je po ziemi. Staczają zacięte walki z współzalotnikami i natrętami obcymi, a każdy kogut broni swego obranego miejsca, i nie da się zeń przez sąsiada spędzić. Śród takiej walki spadają gęsto powyrywane pióra, i oznaczają dokładnie plac boju. Cięcia dziobami objawiają się w bliznach, które u zabitych kogutów dostrzegamy. W owej wstępnej porze tokowania można pewną oznaczoną liczbę kogutów ubić, zwłaszcza starych, mniej zdolnych do zapłodnienia, nigdy zaś młodzieży, która przez starych, silniejszych, w tej pierwszej porze bywa energicznie od udziału w tokowaniu usuwaną. Gdy już kury poczynają się pojawiać na tokowisku, należy im spokój zabezpieczyć, aby zapłodnienie pomyślnie się odbyło. W ostatniej porze można jakiego młodego koguta ubić, jeżeli już konieczna tego wymaga potrzeba, ale troskliwy myśliwy szanuje je raczej. — Zwir i piasek są niezbędnym warunkiem pobytu głuszca, a gdzie ich nie ma, tam w odpowiedniem dla tokowiska miejscu staranny myśliwy zakłada pagórki piaszczyste i zwirowate, i strzeże, aby trawą nie porastały. Ale takie nasypy robić należy w zimie przed porą tokowania, śród niej bowiem przeszkód wszelkich unikać trzeba. Głuszyce nie strzela się, owszem ochrania, ponieważ więcej ich ginie od drapieżników, jak kogutów nigdy ich nie ma za wiele, w rodzie głuszców bowiem, jak u wszystkich kur, przeważa liczba kogutów. Stare kury są właściwemi prowokatorkami tokowiska, bo one wiodą młode koguty do niego, one wskazują im miejsce, gdzie Amor swoją założył świątynię. — Gorliwe prześladowanie i odstraszanie wszelkich drapieżników od tokowiska są niezbędne, mianowicie jastrzębia gołębiarza (falco palumbarius) tępić trzeba, samica nawet bowiem uderza i zabija starego głuszca, o czem wiem z własnego doświadczenia. Tak padły na pewnem tokowisku w mojej ojcowiźnie w przeciągu tygodnia 3 głuszce stare, a przy bliższem badaniu miejscowości okazało się, że się tam znajdowało gniazdo owych rozbójników. Na razie przypisywaliśmy owe zbrodnie orłom, puhaczom, ale mylnie, jak się później wykazało, bo morderczynią była samica jastrząb gołębiarz.

Polowanie na głuszce odbywa się w dwojaki sposób, albo wystrzelaniem kogutów podczas tokowania lub też wystrzelaniem młodych przed wyżłem. Jeżeli się w porze tokowania rozważnie i umiarkowanie wybije koguty, to ubytek tej pięknej zwierzyny nie da się wcale uczuć, przeciwnie wybijanie młodych może zupełnie tokowanie zgubić. Na szczęście uganianie się za młodemi najczęściej bywa prawie bezskuteczne, szukanie

ich bowiem w lasach nieskończonych jest mozolne i trudne, zresztą młodzież owa zmienia często swoje stanowisko, a raz popłoszona i rozproszona, chroni się po drzewach, gdzie trudno ją dostrzedz i pies zwietrzyć nie może, a na zwabienie się rychłe wcale nie można liczyć. Rzadko tylko udaję się z wypłoszonego stadka jedną lub dwie kurki ubić. Sposób polowania na głuszce podczas tokowania zanadto dobrze jest znany, słów więc jemu tylko kilka poświęcę. Im wcześniej myśliwy stanie na tokowisku, tem pewniej zdoła zabić kilka kogutów, bo gdy już zupełnie jasno, to podskoki już nie tak dobrze prowadzą do celu. Jeżeli tokowisko bogate jest w głuszce, to myśliwy, jeżeli chce więcej kogutów jednego poranka zabić, nie powinien ze środka tokowiska rozpoczynać swoje działania, lecz raczej od brzegu tokujące koguty wystrzelać. Byłem na tokowiskach, gdzie 25 do 30 kogutów się odzywały i to tak gęsto obok siebie, iż jeden drugiego mógł słyszeć. Gdyby kto chciał w takiem miejscu we środku tokowiska podskoki rozpoczynać, to byłyby one pewnie bezskuteczne, bo milczące koguty słyszałyby podskoki pod tokującego, zaniemiałyby zupełnie, a w końcu i tokujący zdziwiony owem milczeniem przestałby się odzywać. Byłem raz tyle szczęśliwym, iż ubiłem w przeciągu jednej nocy 4 koguty, ale udało mi się to jedynie z tego powodu, iż rozpocząłem polowanie od brzegu tokowiska. Mało lub wcale nie płoszone koguty dadzą się zwykle łatwo podejść, przeciwnie doświadczone niesłychanie trudno. Jeden taki stary wyga obdarzył mnie siedmiu bezsennemi nocami, aż też wreszcie udało mi się go zastrzelić. Ubicie tokującego głuszca wcale nie jest trudne, lubo mrok utrudnia celowanie, i możnaby sądzić, iż łatwy taki strzał obok poprzedzających go trudów i mozołów, musiałby prawdziwego myśliwego zniechęcić, i nie sprawiać mu rozkoszy — a jednak tak nie jest, mogę z własnego doświadczenia twierdzić, iż żadne polowanie nie rozbudza tyle wzruszenia i interesu, jak owo na toku. Aż do późnej starości oddawałem się zawsze z zapałem i rozkoszą owym łowom, ubiłem też do 130 głuszców. Proszę wziąć na uwagę, ilem poświęcił bezsennych nocy w lesie przy ognisku, a jak często trud mój był bezowocny. W północnej Rosyi bywają głuszce tak kury jak koguty łowione na sidła, i rozsyłane na targowiska całego świata. — W końcu niech mi wolno będzie nadmienić, iż o głuszcach zwłaszcza tokujących, o ich najpociesznieszych pozach, opowiadane bywają przeróżne gadki, co wszystko wskazuje, iż szał miłośny odejmuje im zupełnie przytomność i samowiedzę. W Mitawie wpadł raz głuszec z taką siłą na ścianę domu jednego z moich przyjaciół, iż się na śmierć rozbił. W Kabillu, majątku mego wuja hr. K. zchwycił leśnik dwa walczące z sobą koguty rękami, musiał jednak jednego z nich z powodu silnego wachlowania skrzydłami wypuścić, drugiego zaś przyniósł żywego do dworu. Tegoż dnia puszczono owego zchwytanego koguta na tokowisko, gdzie też nie zaniedbał dalej wywodzić swych pieśni i gestykulacyi miłośnych. Kuzyn mój widział cztery walczące koguty na łące, które tak gorąco za łby się brały, iż mógł zbliżyć się ku nim na kilka kroków, wtedy dopiero rozdzieliły się i pierzchnęły. Inspektor lasów p. Hartig, jakoteż inni pisarze, opowiadają o nader ciekawych wypadkach, jakich polując na głuszce doświadczyli, a wszystkie stwierdzają zapamiętały szał miłośny. Nim przejdę do innego gatunku ptactwa łownego, muszę nadmienić, iż czasem spotyka się w jesieni młode głuszce na osikach, których pączki chętnie obgryzają. Można w takim razie nawet więcej z nich ubić, jeżeli się zawsze strzela do najniżej siedzących, przeciwnie gdy się zabije którego na szczycie, wtedy reszta się płoszy i ulatuje daleko.

Następnym po głuszcu co do wielkości jest niezawodnie cietrzew, zwłaszcza kogut z pięknemi, błyszczącemi piórami, z czerwonymi grzebieniami, które podczas tokowania najbardziej występują. Cietrzew niechętnie przebywa w lasach starannie pielęgnowanych, raczej mieszka w mniej dostępnych bagnistych, z tego powodu nie ma go już prawie wcale w Niemczech. W Rosyi, jak np. w Polsce, na Litwie i w ojczyźnie mojej Kurlandyi cietrzew dosyć jest jeszcze pospolitym, a mógłby być jeszcze gęstszym, gdyby bardziej pomyślano o jego ochronie. Łowienie cietrzewi w sidła, co niestety kłusownictwo z najlepszym skutkiem czyni, najbardziej przyczynia się do ich znacznego ubytku, padają bowiem ofiarą przeważnie kury. Czas gry przypada u cietrzewi wcześniej jak u głuszców, trwa także dłużej, samce bowiem grają jeszcze i szlifują w najlepsze, gdy kury już lęg rozpoczynają lub nawet kończą. Podczas tokowania walczą koguty o wiele zacieklej, jak głuszce, i wykonują podczas gry najśmieszniejsze podskoki i gambady, które częstokroć zmuszają czatujących myśliwych do serdecznego śmiechu. Gra odbywa się po największej części w najwcześniejszej porannej porze na ziemi, później dopiero, po wschodzie słońca na drzewach. Cietrzew trzyma się również stale wybranego tokowiska, i nie opuszcza go nawet po kilkakrotnem przepłoszeniu, nie trudnem zatem jest zabicie go, jeżeli się przed brzaskiem dnia zasiądzie, i w dobrem ukryciu koguta wyczekuje. Podkradanie się pod grającego cietrzewia jest trudniejsze, ponieważ gra najczęściej na czystej ziemi, więc strzelec nie może się skryć, a śród gry cietrzew wprawdzie mało słyszy, ale natomiast rozgląda się bystro w około. Kury obierają sobie na miejsce lęgu i hodowania młodych przeważnie lasy bagniste, zadrzewione karłowatą sosną, wierzbą i krzewiną, gdzie też wrzos i jagody leśne się znajdują. W zimie żywią się cietrzewie najwięcej pączkami brzozowymi, młode zaś jagodami i owadami. Stare kury wracają corocznie do zwykłych lęgowisk, z tego powodu należy je oszczędzać i nigdy starej kury nie zabijać. U cietrzewi koguty także liczbą przeważają. Polowałem pewnego razu w towarzystwie nadleśniczego na cietrzewie, i zabiliśmy 18 młodych, a między niemi 14 kogutów, lubo wcale nie oszczędzaliśmy młodych kur. Polowanie na cietrzewie odbywa się również tylko w dwojaki sposób, nie mówiąc o łowieniu na sidła, co ja nie polowaniem lecz raczej kłusownictwem mianuję. Pierwszy sposób polega na tem, iż się z zasadzki lub podkradaniem do nich strzela. Jak się przytem zachować należy, nadto dobrze jest wiadome, nie widzę przeto potrzeby obszernie i szczegółowo o tem mówić. Przejdźmy więc do drugiego sposobu, i rozpatrzmy się w nim bliżej, albowiem przynosi on częstouroć przy pomocy wyżła znaczną zdobycz. Buszowanie z wytrwałym i blisko szukającym legawcem sprawia bez zaprzeczenia najwyższą myśliwską rozkosz zwłaszcza w rewirze bogatym w ową zwierzynę. Polowanie na stare kryjące się koguty najodpowiedniej rozpoczynać 24 Czerwca, i ciągnąć je wytrwale przez Lipiec, wtedy bowiem zwykle płochliwy kogut wytrzymuje twardo przed psem. Pora wybijania młodych przypada na Lipiec i początek Sierpnia, bo w tym czasie już godne są strzału i dosiadują mocno. Gdy stadka kilkakrotnie są przez pasące się bydło zaniepokojone, wzlatują młode z matkami na drzewa, co dla myśliwego jest wcale niedogodnem. Cietrzewie idą łatwiej na wabia jak głuszce, a rozprószone stadko skupia się też rychlej. Niestety kura lęgowa pierwsza podąża na wabiący głos myśliwego, i staje się łatwą ofiarą czyhającego na nią kłusownika. Próbowałem nieraz ślepym strzałem stare kury zwabione odstraszyć, ale po kilku dniach zapominały o groźnym

*

huku strzału i dawały się łatwo zwabić. Ponieważ spotyka się zwykle cietrzewie w lesie i krzakach, gdzie nie ma otwartego widoku, to najodpowiedniejszym jest wytrwały i blisko szukający wyżeł niemieckiej rasy. Gdy pies jest dobrze ułożony i nie zrywa się po strzale, to można częstokroć na tem samem miejscu kilka razy strzelbę nabijać, i na wstępie polowania 4 lub 5 cietrzewi ubić, co mi się też nieraz nawet z kabzlową strzelbą przydarzało. Gorący aporter nie bardzo jest na młode cietrzewie przydatny. Najrozkoszniejszem dla myśliwego jest buszowanie za starymi zaszytymi kogutami, lubo nie można liczyć na znaczną zdobycz, to jednak każdy ubity kogut sprawia niezawodnie większą uciechę, jak pół lub cały tuzin drobiu młodego. Widok takiego płochliwego i przemądrego koguta, jak się podrywa i spada jak czapka, napawał zawsze moje stare serce myśliwskie niezmierną radością. Nawet zachód podejmowany z dobrym wyżłem około młodzieży cietrzewiej, gdyby nawet niewiele jej w rewirze się znajdowało — jest rajską rozkoszą dla prawdziwego myśliwego.

W głębi Rosyi wyławiane bywają cietrzewie na sidła i dachy spadające, albo też za pomocą tak zwanych bałwanów czyli cieniów. W ostatnim wypadku postępuje się w następny sposób. Umieszcza się wypchanego cietrzewia na bezlistnem drzewie brzozowem, i staje się w strzałowem oddaleniu w dobrem ukryciu. Myśliwi lub gońce obchodzą miejsce, na którem cietrzewie często w wielkiej liczbie drzewa obsiadają, pędzą je i płoszą łagodnie ku ustawionym cieniom i myśliwym. Cietrzewie nie bardzo zaniepokojone, swobodnie obsiadają drzewa obok cieniów, i stają się nader łatwym łupem. Trafny strzał powala na ziemię niekiedy naraz cztery i więcej sztuk, przeważnie kogutów. Ponieważ w zimie cietrzewie zbierają się w gromadniejsze stada, to sposób ów polowania nie tylko jest nader ucieszny, ale też daje zwykle bogatą zdobycz. Na bezlistnych, rzadko rosnących brzozach widzi myśliwy z znacznego oddalenia piękne, wielkie, czarne koguty, łatwo więc obmyśleć plan zbliżenia się ku nim i skutecznie go wykonać. Ale zawsze koroną zabiegów myśliwskich przy łowach na cietrzewie jest buszowanie z dobrze ułożonym psem — w rewirach bogatych w ową zwierzynę.

(Dokończenie nastąpi).

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

RYŚ.

(Ciąg dalszy).

Ryś jest tylko nocnym rabusiem, w dzień nie poluje chyba mu się sam łup nadarzy. Z brzaskiem dnia kryje się i leży, gdy go nic nie płoszy, aż do zmroku, czem różni się znacznie od wilka, który najczęściej już od południa myśli o włóczędze rozbójniczej. Jako legowisko obiera sobie rozpadlinę skalną lub gąszcz, równie też wydrążenie w drzewie lub jamy borsucze i lisie. Gdy się ma położyć, wychodzi na drogę pobliską upatrzonemu miejscu, i w ogromnych skokach przypada do niego. Jeżeli taka droga idzie obok samego gąszczu, to rzuca się tak gwałtownie i daleko w głąb jego, że wcale nie znać tropu. Zawsze i nieomylnie obiera największe gąszcze, młode sosnowe zapusty i t. p. nie troszcząc się wcale o to, iż może właśnie ludzie w pobliżu się pojawiają. Jeżeli można wnosić z usposobienia niewolnika o trybie życia rysia swobodnego, to wolno przypuszczać, że dzień cały przepędza leżąc na jednem miejscu. Drzemie na pół, tak jak kot, niby w swobodnej drzemce pogrążony, nie spuszcza jednak niczego z oka co się w koło niego dzieje. Ostre zmysły chronią go nawet w czasie drzemki od przykrych niespodzianek. Zmysł słuchu w pełnej jest czynności nawet gdy głęboko zasypia. Najlżejszy szmer wywołuje zwrot ku zagrożonej stronie, a zamknięte oczy otwierają się, skoro szmer staje się silniejszym. Sen zdaje się być najgłębszym rano i w południe, po południu wylęga się chętnie na słońcu, i rozkłada się godzinami całemi na grzbiecie. Skoro zmierzch zapada, ożywia się, a w nocy wychodzi na łowy, często jednak przystaje, rozpatruje się podobnie jak kot, który pragnie przejść przez podejrzane mu miejsce. Ile możności trzyma się swoich przesmyków. W zimie podobno, jak twierdzą Frauenfeld, Nolken i Radde, czyni to zwykle idąc w własne ślady. Tylko bardzo niedoświadczony myśliwy weźmie trop jego za trop innego zwierza, ślad bowiem jest bardzo wielki, większy jak starego wilka, wybitnie okrągły, a ponieważ pazury się nie odciskają, tępy, krok zaś względnie krótki. Tak więc tworzy trop rysia sznur pereł, który rozpozna, ktokolwiek raz w życiu go widział. Przy przemykaniu wchodzi więc ryś tam i nazad w dawne tropy, czynią to nawet zebrane rysie, gdy społem idą na łowy. Frauenfeld, który raz wytropił cztery rysie, mówi o tem w tych słowach: „Przy pierwszem spostrzeżeniu śladów tego zwierza, dwa tylko były widoczne tropy, sądziliśmy więc, że tylko dwa znajdowały się rysie, później jeden tylko był trop, którym wszystkie cztery ślad w ślad za sobą chodziły. Na łące, na której łup wypatrzyły, nim na nią wyszły, ukazywał się potrójny trop, a dopiero na wolnej przestrzeni w lesie, gdzie sarnę opadły, znaleźliśmy z niemałem zdziwieniem ślady aż czterech rysiów, tam bowiem rozdzieliły się, a jeden z nich, niewątpliwie przewódzca, w dwóch susach dosięgnął sarnę. Natychmiast po zapewne niefortunnych łowach, postępowały rysie znowu zwolna jednym tropem“. — Pewien myśliwy znalazł w zimie trop rysia w miejscu, gdzie nastawione były łapki na zwierzynę. Jakoż w istocie leżał ryś nieżywy w łapce. Z wielkiem jednak zdziwieniem spostrzegł myśliwy tenże sam trop po za łapką. Poszedł za nim i znalazł w drugiej nie bardzo odległej łapce innego, również nieżywego rysia. Oba szły albo osobno albo razem trop w trop, a myśliwy nigdyby się był o istnieniu dwóch rysiów nie domyślił, gdyby go łapki o tem nie były dosadnie przekonały.

Z powodu niezwykłej postaci swojej wydaje się ryś niekształtny i niezgrabny. Nie ma on wprawdzie miękkości i pewnego wdzięku ruchów, jakiemi się odznaczają inne koty, lecz co do zręczności może je nawet przewyższa. Czego może dokonać, widzieć można najlepiej na świeżym śniegu. W sprawozdaniu myśliwskiem ogłoszonem z powodu zabicia ostatniego rysia w Harzu czytamy: „Najdziwniejszem było widoczne po

tropach zchwytanie zająca. Leżał on w kotlinie na brzegu gęstej sośninki, przytykającej do obszernego wolnego miejsca. Ryś podkradł się do niego, ale zając wcześnie poznał niebezpieczeństwo, i pomknął szybko halawą. Ryś jednak doścignął go w dziewięciu potężnych skokach, w przecięciu po 13 stóp długości każdy. Znaleziono tylko tylne skoki biednego kopyry". Frauenfeld z własnego dowiedział się doświadczenia, jak szalone skoki robi ryś: „Zając, którego cztery rysie (wyżej przywiedzione) znalazły, spostrzeżony był zapewne zdala przez jednego z nich, bo może ze sto kroków nie było śladu zwykłego chodu, lecz szeroka, przydłużona smuga, którą przedni ryś przy podkradaniu się i pełzaniu w śniegu wytłoczył. Między nim a zającem było zagajenie nad meter wysokie, które ryś jednym skokiem przesadził, nie dosięgnął jednak zająca, skok jego bowiem, lubo 20 kroków mierzący, okazał się o sążeń za krótki". — Nigdy prawie ryś po chybionym skoku nie prześladuje dalej zwierzyny. W obu przez Frauenfelda przywiedzionych wypadkach, nie poszedł ów drapieżnik za swoją ofiarą, lecz ruszył spokojnie w inną stronę. Także Nolken zapewnia, iż nigdy więcej nad trzy lub cztery nie dostrzegł skoków, i że ryś nigdy nie prześladuje uciekającej zwierzyny. „Dziwne — dodaje on — iż nigdy nie widziałem miejsca, gdzieby mu się skok powiódł". Więc i w życiu rysia nie zawsze szczęście sprzyja jego łowieckim usiłowaniom.

Z nader licznych i szczegółowych podań naukowych i myśliwskich możemy zestawić wybitny i dokładny obraz łupiestwa, jakiego dokonuje ryś.

Już wspominaliśmy, iż ryś kryje się rozciągnięty na konarze drzewa w rozpadlinach skalnych, jaskiniach, dziupłach, niedostępnych gąszczach, norach borsuczych i lisich. Sam nie grzebie jam. W legowisku swojem zostawia wstrętną woń kocią. W dzień spoczywa prawie nieruchomy, z otwartemi błyszczącemi oczyma, pozornie uspiony, i czatuje na przechodnią zwierzynę. Czasem po dniu skrada się za nią bez szmeru, pełza głęboko ku ziemi pochylony, skacze ku niej jednym lub kilku skokami, wgryza się w nią, zatapia głęboko pazury i przegryza tętnice na karku. Siedzi na zwierzynie, jak długo ona żyje, zdarzył się nawet wypadek, iż taki straszliwy jeździec zajechał na swej krwawej ofiarze tam, gdzie być wcale nie pragnął. Jedna z gazet norwegskich doniosła, że pewnego dnia gromada kóz wpadła z niezwykłą szybkością z pobliskiego lasu do dworu. Jedna koza unosiła na grzbiecie swoim młodego rysia, który pazury swe tak głęboko zatopił, iż nie mógł ich wydobyć. Koza pędziła w śmiertelnej trwodze, celny strzał uwolnił ją od napastnika, ale ona zginęła również w skutek ran. Główną cechą rysia jest spokój i rozwaga, z jakiemi swych morderczych czynów dokonuje, i w tym względzie różni się on od innych kotów. Gdy łupu swego ścigać już nie potrzebuje, wpatruje się weń spokojnie, zbliża się zwolna, chwyta szybko, porusza przytem silnie i raźnie ogonem, i żre na pozór tak umiarkowanie, jak dobrze wychowany człowiek, nie mniej ani więcej, jak łaknie, resztę porzuca wzgardliwie. Wstrętny zwyczaj kotów długiego igrania z łupem i bawienia się jego męką przedśmiertną jest i jemu właściwy, ale dzieje się to z pewną powagą. Tak postępuje jako więzień, tak zapewne także na wolności. Wszelka zwierzyna jest pożądaną dla niego zdobyczą. Od najmniejszego ssawca lub ptaszka, aż do jelenia i sarny lub dropia i głuszca — każde zwierzę zagrożone jest przez owego srogiego drapieżnika. Noc otwiera mu szerokie pole łowów. Jeleń pochwycony przez rysia ma w taki szał wpadać, że rozbija się sam głową o drzewa. Łoś, ren, sarna i dzik uchodzą czasem szczęśliwie, zrzucając z siebie rysia. Prześladuje zwierzynę w potrzebie nawet na najwyższe szczyty drzew, a dodać należy, iż zbików i kotów zdziczałych jest zaciekłym wrogiem. Większą zwierzynę przenosi nad mniejszą, ztąd też myszy niechętnie łowi, ale i tych nie oszczędzi, gdy mu w drogę wejdą. Brehm podrzucał chowanym rysiom wróble, szczury, myszy i nigdy żadne z tych zwierząt nie uszło pazurom tego rabusia. Lecący wróbel z równą pewnością bywał w powietrzu chwytany, jak w świadomości niebezpieczeństwa szybko przemykający szczur. — Po nieudanym skoku i bezskutecznej napaści nie prześladuje dalej zwierzyny, i w tym względzie tylko do lwa w rodzie kotów podobny. W Prusiech i w Polsce ma się podkradać pod bydło na pastwisku, i wyrywać krowom najpożądańszy dla niego przysmaczek — wymiona. Łakotnisiem jest tak dalece, że mając dostatek innej zwierzyny, upędza się za szlachetniejszą. Zabiwszy zwierzę, zlizuje naprzód krew, wyżera wnętrzności, potem część głowy, szyi i grzbietu, resztę zagrzebuje lub porzuca zostawiając na pastwę wilkom i lisom. Do resztek wraca tylko głodem trapiony. W ubogich w zwierzynę miejscach zbliża się do padliny, a gdy w niej zasmakuje, chętnie dłużej dla niej pozostaje. Gdy spostrzeże człowieka lub zwierzę dlań groźne, przyciska się do drzewa i kryje starannie, gdy słabsze, rzuca się na nie. Z niskiego konara jednym skokiem spada na ziemię lub pastwę, w przeciwnym razie spuszcza się cicho i ostrożnie, skrada przez gąszcze. Tylko w wielkiem niebezpieczeństwie porzuca zdobycz. Gdy mu łupu zabraknie — opuszcza miejsce. Ryś straszne czyni spustoszenie w zwierzynie, tem bardziej, iż więcej zabija, jak pożera. Najlepszy stan sarn bywa przez rysia wytępiony do nogi, jeżeli myśliwy wcześnie nie położy tamy temu rozbojowi. W szwajcarskich Alpach czyha on — według Schinza — na kozice, borsuki, susły, zające, króliki, opada głuszce, cietrzewie, jarząbki, pardwy, i rzuca się na trzody owiec, kóz i cieląt. Jest więc istotną plagą myśliwego i pasterza. Ryś, którego zchwytał leśniczy Wimmer w rewirach ks. Lichtensteina, koło Rosenbach, żył przeważnie sarnami i zającami, ale też niepokoił kozice, a jednej nocy zdarł siedm owiec tak, iż nie jego, lecz niedźwiedzia o tę zbrodnię podejrzywano, aż umiejętny leśniczy poznał sprawkę jego po sposobie rozboju. Raz rozdarł tenże ryś ośm owiec, a żadnej nie pożarł. Tschudi i Reumann przywodzą wypadek, iż w r. 1814 jeden ryś w górskiej dolinie Sun rozszarpał w lesie więcej jak 160 owiec i kóz. Moglibyśmy jeszcze więcej takich wydarzeń zacytować, ale już sam szczegółowy opis drapieżnego usposobienia jest dostatecznem stwierdzeniem jego szkodliwości. Nie dziw więc, że myśliwy i pasterz zaprzysięgli mu pomstę i zagładę bez litości, że nauka wskazuje go jako najsroższego z złoczyńców rodu zwierzęcego.

Co do *rozmnażania* się rysiów nie mamy pewnych i dokładnych wiadomości. Żaden z badaczów nie patrzał na ów proces u chowanych rysiów głównie z tego powodu, iż nader trudno pozyskać jednego rysia, a tem trudniej parę, że nie chowają się w niewoli jak inne zwierzęta i nie parzą się. Myśliwi i przyrodnicy zgodnie podają, iż *marcowanie* rysia przypada na Styczeń i Luty, że samica nosi brzemię 9 tygodni (Flemming twierdzi, iż tylko 5 tygodni), i *koci się* wydając na świat 2 do 4 młodych, które 9 do 14 dni są ślepe. Dzieje się to w najniedostępniejszych miejscach, lub między skałami i w jamach, pod rozłożystymi i grubymi korzeniami drzew. Kocięta przezierają między 9 a 14 dniem. Według Flemminga są one zupełnie białe, później ciemnieją coraz bardziej. Gdy już dosyć są silne, znosi matka żywcem zwierzynę, i zaprawia na niej do łupiestwa. Z końcem drugiego roku dochodzą normal-

nych rozmiarów i zdolne są do mnożenia się. Zaloty odbywają się z wrzaskiem, zwykłym u kotów, wynikającym w części z zażartej walki, jaką konkurenci z sobą staczają, w części zaś, iż sam *coitus* jest bolesny. Miejsce zalotów wskazuje głównie obfity kał, wielkości pakułu, zmięszany z włosem i pierzem. Co do pory marcowania tylko Altum nasuwa wątpliwość, opowiada bowiem, iż w r. 1852 znaleziono 2 Czerwca dwoje rysiąt zaledwie dwa dni mających. Tak twierdzą myśliwi i przyrodnicy, nigdy wszakże jako naoczni świadkowie. Nawet ci badacze, którzy co roku mają sposobność spotykania się z rysiem, zeznają, iż nie mają pewnych wiadomości o jego rozmnażaniu się. „Jakkolwiek — mówi sprawozdawca w *Jagdzeitung* — w każdym roku zchodzę się z rysiem w Galicyi, lubo w okolicy, w której zwykle na nie poluję, wytężoną jest w tej mierze moja uwaga, to jednak nigdy tam nie znaleziono gniazda rysiego, lub też śladu miejsca, gdzie rysica się okociła. To daje mi powód do mniemania, że marcowanie a szczególnie kocenie odbywa się w najniedostępniejszych miejscach pierwotnych lasów Karpackich, i że młode rysie, z którymi myśliwy w nizinach się spotyka, wychodzą tam jedynie po zdobycz“. Podobnie wyraża się Nolken: „O marcowaniu i koceniu się rysia nie mam wcale wiadomości, nigdy bowiem nie słyszałem o znalezionem gnieździe rysiem. Jestto tem dziwniejsze, iż nasz chłop z namiętnym zapałem wyprawia się w Maju i Czerwcu w lasy celem wyszukiwania gniazd wilczych. W takim razie bywają lasy najstaranniej i zwykle z dobrym skutkiem przeszukiwane. Wierzę więc, iż rysie wychowują swe młode w jamach borsuczych lub lisich, sądzę jednak, że często też gniazda znajdują się w najniedostępniejszych miejscach bagnistych lasów pierwotnych, których jeszcze mamy dosyć, że przeto z tego powodu wszelkie najtroskliwsze poszukiwania bywają udaremnione“. A jednak czasem zdarza się znaleść gniazdo rysie, kiedy bywają łowione młode, kilkudniowe rysięta. Szwed Grill miał dwudniowego, karmiła go kotka domowa z troskliwością i miłością. Po czterech miesiącach dostawał mleka, braby, kartofli itd., ale nigdy surowego mięsa. Oswoił się jak kot domowy, ale dzikość przyrodzona pozostała w nim, złościł się, gdy człowiek nadto się do niego zbliżył, podnosił się wtedy z legowiska, poruszał gwałtownie ogonem, mruczał lub pryskał nie otwierając pyska. Innego głosu nie wydawał, nawet gdy go żelaznym prętem potrącano. Kij chwytał zębami. Gdy dorósł żywiono go tylko surowym mięsem, a pił wodę lub krew, ale ostatnią rzadko i w małej ilości.

Oswajanie rysiąt wcześnie z gniazda wybranych nie jest zbyt trudne. Stają się zupełnie łaskawemi, obcują nawet z zwierzętami domowemi, lecz kotów znieść nie mogą. Takie oswojone rysię jak pies chodzi około domu igrając, wszelako dzikość utajona i przytłumiona wychowaniem, wybucha przy sposobności. Pietruski opowiada: „Mój ojciec posiadał młodego rysia, chowano go w kuchni, za kucharzem jak pies biegał, był zdrów. Raz zrobił szkodę w kuchni, a kuchcik tak mocno kijem go uderzył, że mu krzyże złamał, w skutek czego zginął. Żywiono go mięsem surowem i rosołem, ptakami żywymi i wnętrznościami kur. — Hr. Jerzy Bukowski, wielki myśliwy opowiadał mi, że posiadał dwoje rysiąt, które tak się z sobą zagryzały, że je trudno było rozbroić, czemu wierzę, bo wiem z doświadczenia, że i młode kuny często się między sobą zajadają, przyczem okropnie wrzeszczą“. — Najwięcej szczegółów tyczących się chowu i oswajania rysiów daje Brehm „Młode rysie — mówi on — złowione należą do najpowabniejszych stworzeń. Zchwytane w późniejszym wieku nie objawiają wprawdzie łagodnych przymiotów, wszelako zawsze ściągają na siebie uwagę powszechną. Wychowywałem nieraz rysie, a raz nawet najbliżej z sobą pokrewnione, naszego i kanadyjskiego, rozmaite inne badałem w zwierzyńcach, mogę przeto o nich mówić oparty na własnem doświadczeniu. W porównaniu z resztą swego rodu okazują się jako mrukliwe, uparte, gnuśne, jakby ulane ze spiżu, nieruchomo prawie przez pół dnia na jednym konarze leżące, i objawiają tylko przez ściąganie ust, ruchy uszów i oczów, poruszaniem ogona, że dusza w spokoju ciała nie bierze udziału, lecz nieustannie jest czynną. Wykonują wszystko z surową powagą, rozumną rozwagą i nieugiętym spokojem. Nigdy, jak inne koty, nie myślą nawet o tem, aby patrzyć się lub rzucić chciwie za zdobyczą, owszem wpatrują się w podrzucony im kawał mięsa spokojnie i silnie, zbliżają się ku niemu zwolna, chwytają z szybkością błyskawiczną, ruszają przytem szybko i mocno ogonem, i pożerają tyle, ile potrzeba. Inaczej wszakże zachowują się, gdy spostrzegą żyjące stworzenie przemykające koło siebie. Przekradający się przed klatką ich pies, przelatujący ptak, nawet przesuwająca się mysz obudza ich baczność w najwyższym stopniu. Wnet oczy zwracają się ku miejscu wskazanemu przez ostry słuch, przybierają postać malowniczą, i tworzą obraz czyhającego zwierzęcia drapieżnego, nad który piękniejszego nie można sobie wyobrazić. Gdy się większa zdobycz od nich oddala, wpadają w niecierpliwość, i wykonują wtedy, podobnie jak inne większe koty, najpowabniejsze i najzręczniejsze skoki, kręcą się i obracają w klatkach z podziwienia godną szybkością, przeskakują się nawzajem bez najmniejszego wysilenia, to znowu stają na czatach itd. Zupełnie zajęte są przedmiotem, a nawet obecność dozorcy przy klatce wcale ich w tem nie hamuje. Cała ich myśl i cała uwaga zajęte są pociągającym przedmiotem. — Na udręczenie właścicieli zwierzyńców nie należą rysie wcale do owych kotów, które z łatwością bywają pielęgnowane, owszem wymagają one najtroskliwszej opieki. Wprawdzie nie szkodzi im ostre powietrze, zwłaszcza jeżeli zawsze mają suche legowisko i ochronione są od przeciągów, ale co do pożywienia o wiele są wybredniejsze, jak inne koty ich miary, żrą tylko najwyborniejsze mięso, które często odmieniać należy. Nawet przy najstaranniejszem pielęgnowaniu podlegają nagłym chorobom, o których można mieć wiadomość zaledwie na kilka godzin przed śmiercią w ich zmienionem zachowaniu się, uważane są przeto przez hodowców zwierzyny jako nader wrażliwe i trudne do wychowania. Przeciwnie się dzieje, gdy ryś w niewoli swobodniej może się ruszać“. Loewisowi zawdzięczamy bardzo powabnie i nauczająco skreślony opis wychowania i pielęgnowania rysicy, którą miał u siebie. „Przedewszystkiem — opowiada — muszę tu o trzech rzeczach nadmienić, naprzód, iż wbrew powszechnemu mniemaniu ryś pod względem umysłowego usposobienia niepospolite miejsce między drapieżnymi ssawcami zająć powinien, powtóre, że zdrowie więzionego do obcowania z ludźmi przywykłego rysia nie bywa, jak dotąd mylnie mniemano. wątłe zawsze i trudne do utrzymania, nakoniec, iż kot domowy nie ma większego wroga nad rysia, czem łatwo daje się wytłumaczyć, że prawie nigdy nie znajdują się koty i rysie w tej samej kniei. W kilku miesiącach nauczyła się moja rysica poznawać nadane jej imię Lucyi. Między wielu innemi imionami psów, które na polowaniu przywoływałem, umiała ona zawsze rozpoznać swoje, i przychodziła na zawołanie z wzorowem posłuszeństwem. Ułożenie jej nastąpiło bez trudu w takim stopniu, że śród najzacieklejszej ale zakazanej gonitwy za zającami, ptactwem lub owcami stawała, gdy głos mój grożący ją nawoływał, zawstydzona kładła się na ziemi, i na wzór psów o łaskę i przebaczenie zdawała się pro-

sić. Znaczenie strzału w celu dostarczenia jej żeru nauczyła się rychło poznawać. Gdy się zbyt oddaliła, i nie mogła usłyszeć głosu, wtedy huk strzału wystarczał, aby ją do jak najrychlejszego powrotu nakłonić. Szczególnie cechowało jej władzę myślenia polowanie na zające i gołębie, których mięso ze znawstwem umiała odróżnić. Lucya towarzyszyła mi, idąc za nogą moją, nawet z zamiłowaniem, na wszystkich polowaniach jesiennych. Gdy wyszedł na mnie zając, lub też pędzony przez psy pojawił się przy nas, to rozpoczynała się gonitwa, a pomimo nadzwyczajnego podraźnienia w takim razie miała zawsze rysica tyle rozwagi, że oceniała stosunek szybkości pędu i wytrwałości zająca i swój, więc gdy przewagę w tym względzie spostrzegła u zająca, używała zwykłego u kotów sposobu łowienia t. j. kilku ale szalonych skoków, gdy zaś siły były równe, pędziła za nim po polach i krzakach, jak chart, najczęściej z pomyślnym skutkiem. Kiedy jej się skok ku siedzącemu na ziemi gołębiowi nie udał, zmieniała plan natarcia, rzucała się w górę i chwytała ptaka w powietrzu. Zwykle odmawianą bywa kotom zdolność i właściwość przywyknienia do osób je pielęgnujących, wykonywania ich rozkazów. O ile słuszne jest takie mniemanie o kocie domowym, nie tu miejsce rozstrzygać, że wszakże ryś w stosunku do człowieka inaczej się zachowuje, miałem sposobność przekonać się na rysicy przezemnie pielęgnowanej, o której wyżej mówiłem. Była posłuszną tylko głosowi mojemu i brata mego, i względem nas tylko okazywała powściągliwość i uszanowanie. Gdyśmy oba na cały dzień wyjechali w sąsiedztwo, to nikt nie był w stanie poskromić Lucyę, wtedy biada była każdej nierozważnej kaczce lub gęsi. Ze zmrokiem wdrapywała się na dach domu mieszkalnego, gdzie oparłszy się o komin spoczywała. — Gdy późnym wieczorem lub w nocy powóz przed dom zajechał, zeskakiwała w kilku susach z dachu, a gdym ją zawołał po imieniu, to rzucało się to przywiązane zwierzę na słup, i skakało mi na piersi, otaczając moją szyję przedniemi łapami, głośno mrucząc, uderzając i trąc głową, jak to koty czynią, o mnie, i szła za nami do pokoju, gdzie na sofie, na łóżku lub na piecu rozkosznie się rozkładała. Nieraz razem z nami sypiała, a pewnej nocy ułożywszy się na szyi, spowodowała panu swemu sny niespokojne. Raz byliśmy zmuszeni, ja i brat mój, wyjechać na cały tydzień z domu. Wtedy ryś miał wstręt do ludzi, niespokojny głośno wrzeszcząc szukał nas, i już drugiego dnia obrał sobie pobliski lasek brzozowy na mieszkanie, nie wymagając żeru z kuchni. Tylko w nocy wracał na zwykłe swe miejsce dachowe przy kominie. Radość jego po powrocie naszym w nocy z tak długiej wycieczki nie miała granic, jak strzała spadł z dachu na szyję moją i mego brata, i omal nas swymi karesami nie podusił. Odtąd wrócił do zwykłego trybu życia, a wieczorem wyciągnięty na sofie, swobodnie pomrukując, ziewając lub potężnie chrapiąc przedstawiał dla gości naszych rzadkie i bardzo zajmujące widowisko, Uczucie honoru i wstydu było u niego niepomału rozwinięte. Z okna mego domu patrzałem na dziwną, powyższe mniemanie dosadnie stwierdzającą scenę. Wielki staw był w listopadzie lodem okryty, we środku tylko wyrąbano dla gęsi obszerną płonkę, w której też one gromadnie zasiadły. Ryś mój patrzał na nie pożądliwem okiem. Przyciśnięty cały do lodu, podsuwa się coraz dalej, poruszając z zadowolenia ogonem. Czujne potomstwo zbawców Kapitolu zaniepokoiło się, i przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, powyciągało szyje. Pochyla się nasz myśliwy i jak strzała skacze straszny wróg pośród przerażoną rzeszę, ale niestety nie domyśla się, na jak zwodniczej podstawie znajduje się pożądana zdobycz. Zamiast pochwycić gęś, wpada ryś do zimnej wody, ptaki bowiem w tak groźnem położeniu corychlej zanurzyły się. Sądziłem, iż pozostałe na gładkim lodzie gęsi staną się niezawodną pastwą drapieżnika, ale zamiast z łatwością podusić bezbronne ptactwo, wysunął się ryś obmokły, z zwieszoną głową, ze wstydem widocznie, nie patrząc ani na lewo ani na prawo, z pośród przestraszonej i popłoszonej rzeszy, i ukrył się na kilka godzin w ustronnem miejscu. Głód, popęd łowiecki i chciwość krwi nie zdołały przytłumić wstydu, iż mu się napad nie udał. Zostawiony na swobodzie, był ów ryś zawsze rzeźwy, wytrwały i do igrów skłonny. Wybitnie łakotniś, żarł tylko świeże mięso rzeźne, zwierzynę lub drób. Lubo nieregularnie był żywiony, na wsi bowiem często zabraknie świeżego mięsa, a czasem przez kilka dni, w których mu głód i chłosta za popełnione psoty dokuczały, nie dostawał przysmaczków, to jednak zdrowie jego było w tak dobrym stanie, iż gdy pewnego razu obżarłszy się nasolonej, pieczonej wieprzowiny, i rozłożywszy się w nocy przy 10 do 12 stopni zimna na dachu, nabawił się gwałtownego nieżytu jelit, to jednak bez pomocy leków w krótkim czasie odzyskał zdrowie bez złych następstw na przyszłość. Właściwością mojej Lucyi była sroga nienawiść do kotów domowych. Przed zimą były już wszystkie koty u mnie przez nią wytępione. Z straszną wściekłością rozszarpywała je rysica. Jedyna, bardzo miła koteczka pozostała, przez ludzi dworskich w izbie czeladnej starannie przechowywana przez długi czas. Ryś tam się nigdy nie pojawiał, a kotkę nigdy nie wypuszczano. Pewnego dnia spostrzegłem Lucyę zaczajoną na stosie kamieni. Ani nawoływania, ani przywabianie, nie mogły oderwać owo zwykle tak posłuszne i towarzyskie zwierzę od celu swoich czat. Z cierpliwością i wytrwałością, niezwykłą u tak nieniespokojnego i ruchliwego stworzenia, pozostawała na swem miejscu. Obawiałem się u niej choroby, gdy nawet mały, zawsze starannie przez nią unikany deszczyk, z miejsca jej nie poruszył. Nagle, po długiem czatowaniu, rzuca się jak błyskawica. Usłyszałem straszny krzyk, a przybiegłszy znalazłem ostatniego kota rozszarpanego, drgającego jeszcze pod pazurami rysia. Czy zwietrzył wroga pod kamieniami, czyli też dostrzegł przesuwającego się śród nich, nie mogłem się dowiedzieć. Raz tylko odważyłem się wziąć z sobą Lucyę w odwiedziny sąsiedzkie. Zaledwie godzinę byłem tam, gdy doniósł służący, że właśnie ryś zadusił burego, ulubionego kota. Także wyszukiwał i zagryzał koty po obejściach wieśniaczych, a miały one instynktowo o wiele większy wstręt do niego, jak do najzjadliwszego psa, temu bowiem opierały się zawsze zawzięcie, gdy przeciwnie ryś, zapewne o wiele od psa zręczniejszy, w jednej chwili, nie doznając oporu, bez względu na płeć, każdego kota choćby największego w szmaty rozdzierał. Gdym owego rysia burmistrzowi w Walk, wielkiemu miłośnikowi zwierząt, darował, nie mogłem sam robić nad nim spostrzeżeń, wszelako dowiedziałem się o nim co następuje: Rysica w ciągu czteroletniego pobytu w mieście, nie grzała się ani razu. Czas ów przechodził u niej bez śladu, dzikość lub złośliwość nie pojawiały się wcale. Wysoką ceną skuszony, sprzedał ją burmistrz, który niestety także był kupcem, przejeżdżającej menażeryi, jednakże z tym warunkiem, iż ją dopiero w kilka tygodni później przyśle. W drewnianej klatce zamknięty, tłuczony po niegodziwej, pełnej wybojów drodze, zaniemógł ryś pozornie nie bardzo, zdechł jednak jeszcze przed przybyciem na miejsce przeznaczenia".

(Dokończ. nastąpi).

ZE WSPOMNIEŃ MYŚLIWEGO.

Ej! niemasz to polowania,
Nie ma — jak z chartami,
Kiedy zając jak szalony
Pomyka ścierniami —
A jako dzielny gracz stary
Wie, że to nie żarty,
Gdy myśliwy krzyknie *„hadżgo!“*
Wypuszczając charty,
I niby w arenie jakiej
Taniec się zaczyna,
Mkną na przełaj, jak wiatr, w pędzie
Że aż drzy równina.
Lecz zając nie w ciemię bity,
Majster nad majstrami,
Wie on dobrze, jak wypada,
Zmiatać przed chartami!
Nie nowina to dla niego
Dzisiejsze obroty,
Zna przesmyki doskonale
I dziurawe płoty.
Chociaż Dolot go dopędza,
Czasem nawet skubnie,
To mu taką weltę wytnie,
Zwróci się obłudnie,
I dopóty sztuki płata,
W dziwnych skokach sadzi,
Aż myśliwych a i charty
W pole wyprowadzi,
Choć charty wszystkie rasowe,
Z frantem trudna sprawa.
O takie to polowanie
Rycerska zabawa!
I myśliwi i wierzchowce
Piękne — pełne wdzięku,
I dojeżdżacz z gęstą miną,
Z harapnikiem w ręku,
Gdyby przednia straż wygląda,
Co dąży na zwiady,
Wąs jak strzecha i czupryna —
A koń skarogniady.
Za nim stąpa pod myśliwym,
Siwo-jabłkowity,
Grzywa jasna, spodem niby
Szaraczkiem podszyty,
Za nim kasztan jak ze spiżu,
Niesie pana swego,
Uchem strzyże, pełen chęci
Wyprzedzić białego,
Co jak łabędź srebrnopióry,
Arab rodowity,
Wykarmiony cukierkami,
Mydłem bywa myty;
A bułany albo deresz,
Lub srokata mała,
Składna, zwinna jak koteczka,
Biegnie gdyby strzała.
Konie dzielne również jeźdźce!
Bo to szlachta nasza!
Tak ochocza do zabawy
Jak i do pałasza,
Mądra w radzie, nieugięta
W starym obyczaju,
Wszak to garstka szlachty naszej
To podpora kraju!

WSPOMNIENIA z GÓR

PRZEZ

Aleksandra Ubysza.

W roku 1852 przebywałem w Sanockiem, mianowicie we wsi Kr...., położonej w głębokich górach. Obwód niegdyś Sanocki, za czasów rzeczypospolitej polskiej zwany ziemią Sanocką, słynął na całą Polskę z dwóch rzeczy: z gościnności szlachty i łowów na grubego zwierza. W tej mierze nie ustępował prawie Litwie, której rozległe puszcze kryły w swem wnętrzu wielką liczbę sarn, rysiów ostrowidzów, żbików i niedźwiedzi. W Sanockich górach chyba litewskich żubrów, łosiów i rosomaków brakło, z resztą wszelkiej zwierzyny było mnóstwo. Dziś o wiele zmniejszyła się jej liczba, lubo jak dawniej porosłe borami odnogi Karpat, z których każda ma odrębną nazwę, jak: Magóra, Otryt, Żukow itd., a bory te zachowały do dzisiejszej chwili swoją dziewiczość. Od miasteczka Ustrzyk dolnych począwszy wzdłuż aż ku granicom Stryjskiego obwodu na wschód, na zachód ku Sądeckim górom, na południe ku granicom sąsiednich Węgier, w niewielkich od siebie odstępach, ciągną się bukowe lasy lub ponure jodłowe i smerekowe bory, zwłaszcza na szczytach gór, gdzie ich jeszcze nie wytrzebiono,—a jednak zwierzyny w nich znacznie ubyło. Zaiste dziwne zjawisko, wszak myśliwych tam obecnie o wiele mniej, kłusowników też mało, bo chłop Sanocki nie ma popędu do łowiectwa. Niegdyś tam polowano, jak mało gdziekolwiek indziej. Łą., Dę., Os., Ryl., Żur., Bob., Buk., Jor., Lesz., i wielu innych dzielnych nawet sławnych myśliwych nie ma już, dawno śpią w mogiłach cichych, wiejskich cmentarzy. Z ich śmiercią zamarło łowiectwo, życie towarzyskie i owe sławne kuligi. Czy to z osobna czy w licznem gronie polowali oni zapamiętale w jesieni i zimie, a jednak łownej zwierzyny nie brakło. Zaprawdę zagadka trudna do rozwiązania. A do tej zwierzyny nie zaliczam jedynie zające i lisy, wszak tych zwłaszcza pierwszych w górach zawsze nader mało, zresztą czyż to łup dla takich rycerzów, jakimi byli owi myśliwi? Niechaj żyjący dotąd ich potomkowie zaświadczą, iż oni brzydzili się jak grzechem śmiertelnym uganianiem się za kuternogą czyli zającem. Pamiętam niejednego z nich, zgrzybiałymi już byli starcami, a jeszcze wrzała w nich krew gorąca, odgłos trąbki myśliwskiej odbijający się o skaliste ściany gór wywoływał w ich pamięci wspomnienia rycerskich czynów czy to w kniejach czy na polu chwały, a serca do żywszych poruszał uderzeń. Owoż mimo woli wpadłem w ton gawędy zamiast przystąpić do właściwego opowiadania. Onego to roku, o którym chcę mówić, byłem młodzieńcem pełnym szlachetnych uniesień, pragnącym przygód, szukającym wrażeń, a go-

rącym jak war. Była to pierwsza moja wycieczka w góry, a nie znałem ich jeszcze wtedy ani rodzinnych ani obcych, chyba z opisów lub wizerunku. Urodzonemu i wychowanemu śród równin nader dziwnym mi się wydał ten świat garbaty, pełen majestatycznej grozy, ale też imponującego uroku. Nigdy nie byłem tęgim myśliwym na strzelbę, od pierwszej młodości polowanie z chartami było dla mnie prawdziwą rozkoszą, ale trudno w górach z nimi harcować, więc z konieczności zarzuciwszy fuzyę na plecy ruszyłem na cały dzień w góry, a już z natury obdarzony zmysłem ciekawości i badania, nie nudziłem się w tej niby bezcelowej włóczędze. Nieraz całemi godzinami stojąc prosto i nieruchomo jak słup u brzegu wartko płynącego potoku przypatrywałem się z uciechą igraszkom pstrągów w wodzie. Jakież bo to licho ruchliwe i płochliwe zarazem, niemal oddech należało zapierać w sobie, by im nie psuć swobody. Wtedyto goniły te ryby jedna za drugą, igrały z sobą, gdy która złowiła robaczka lub inną jaką pastwę, kilka lub kilkanaście innych pędzi za nią, przyparta nie mając innego sposobu uwolnienia się od prześladowania, w jednej chwili strzela w górę, zakreślając świetlany łuk, i spada czasem o dwa kroki dalej umykając, a zawsze pod prąd wody. Ileż to razy dostrzegłszy na horyzoncie mały punkcik, w którym poznałem szybującego orła, stawałem nieruchomo na czatach i widziałem, jak on upatrzywszy bystym wzrokiem jakiś przedmiot wstrzymywał się w locie, zawisał w powietrzu i długo nieraz pozostawał w jednem miejscu. Pragnąłem zbadać przyczynę tego. Więc gdy orzeł dalej się lotem posuwał, ja przedzierając się przez gęste krzaki, głębokie jary, wspinając się po stromych górach, nie tracąc z oka szybującego w powietrzu króla ptaków, docierałem do miejsca, w którem ów bystrowidz upatrywał dla siebie pastwę. Przeszukiwałem je starannie, i raz znalazłem przyczajonego zająca, który wypłoszony z kotliny pomknął i znikł mi wnet z oczów, a równocześnie też orzeł uleciał dalej. Może mając zająca na oku podążył za nim, aby w nowej kotlinie spaść nań, zatopić w nim ostre pazury, drgającego jeszcze unieść na szczyt skał jako pastwę dla głodnych i wyczekujących żeru orląt, lub na pierwszym nagim szczycie gór rozszarpać go w kęsy. Czasem się też zdarzało, iż ja sam byłem przedmiotem obserwacyi orła, a lubo nie miał odwagi atakować mnie, to jednak długo wisiał nademną bystro się wpatrując. Ja też nieraz godzinami leżąc na wznak drażniłem sobą orły, a jeden z nich śmielszy tak się już nademnie zbliżył, żem mógł strzelić. Skręcił się w powietrzu i szybko ulatując nagle jakby gromem rażony runął na ziemię po drugiej stronie potoku. Naturalnie wnet podążyłem w to miejsce, i po długiem szukaniu wreszcie znalazłem go już nieżywego. Jedyny to orzeł, którego zabiłem. Ileż to z mej ręki padło wabionych jarząbków. Wabił je wybornie zwykły towarzysz w moich wycieczkach Józef, szewc z profesyi, pijak i łgarz z nałogu, ale myśliwy zapalony. Blaszanego wabika używał tak łudząco, iż samcy osobliwie pieszo drepcząc nieraz nawet nadto blisko ku nam przychodziły. Zasiadaliśmy zwykle na ziemi, plecami oparci o gąszcz, a z twarzą zwróconą ku polance, Józef poczynał wabić w pewnych regularnych odstępach czasu, ja zaś wysłuchiwałem nie odezwania się jarząbka, bo on tego nie czyni, i w inny sposób oznajmia swoją obecność i niezawodne przybycie. Usłyszawszy mniemany głos oblubienicy, zrywa się z głośnym burkotem, porzucając bezpieczne schronienie, zwykle na szczycie rozłożystego buku, do którego przytula się i siedzi nieruchomy, a szarą barwą stroju swego nie wiele się różniąc od kory bukowej, nie łatwo może być dostrzeżonym. Zdaleka lecąc zbliża się do głosu, z bliska pieszo. Czasem kilku naraz zjawia się tych gachów, wtedy łatwo go zabić, a gdy na miejscu padnie, podejmować go nie można, boby się kilku innych spłoszyło. Zapamiętały to ptak w zapale miłośnym, i łatwo go ubić w jesieni, a jeszcze łatwiej na wiosnę, bo wtedy szał miłośny go gubi tem bardziej, że liczba samic znacznie jest mniejszą. Z tego więc powodu wybijanie samców na wiosnę nie czyni w tej zwierzynie szkody.

Kto pragnie wrażeń i rad poznać przyrodę, niech nie szuka jej uroku i powabów w ręką ludzką uformowanych jej kształtach, choćby one najbardziej oko pociągały. Widząc je raz, można mieć jasne wyobrażenie o wszystkich tego rodzaju wytworach, noszą one na sobie wybitne i nader do siebie zbliżone piętno. Wysoka kultura kształci umysł, pobudza do pracy, i osiągnienia z niej realnych korzyści. Rozlega się ona na obszernych równinach, skrzętnie uprawionych, zabudowanych i umiejętnie wyzyskanych. Ale owe jednostajne formy, symetryczny rozkład nuży w końcu wrażeń pragnącego ducha. Kto przeto pragnie zasilić go iskrą natchnienia i zachwytu, i w wyższe się unieść sfery — ten niech się zagłębi w step, puszczę leśną lub w krainę niebotycznych gór. Tu zwłaszcza oko ciała i ducha coraz nowy i świeży znajdzie przedmiot podziwu: owe niespodziewanie otwierające się hale zasiane bujną i woniejącą roślinnością z przerzynającym je szumiącym potokiem, owe nagie pionowe ściany skaliste, owe werchy porosłe mchem i kosodrzewiną, ów widok daleki jeżący się czubałkami szczytów, ów szum tajemniczy rozkołysanych drzew, szumiących strumieni i wodospadów, i inne mnogie zjawiska poruszają do głębi duszę. A i dla nauki szerokie tu pole zdobyczy, botanik znajdzie tu rośliny, jakich tylko w głębokich lasach, dokąd nigdy promień słońca nie dochodzi, szukać należy, mineralog na każdym niemal kroku schyla się po przedmiot swych poszukiwań, który noga profana obojętnie potrąca, niemniej ornitolog i zoolog ma tu obszerne do badań pole. W ogóle wszystkie prawie puszcze leśne, samotne, ciche, poważnie nastrajają ducha, z tego to powodu mieszkańcy lesistych gór są posępni, milczący, co się już w smętności ich pieśni wyraża jakoteż w upodobaniu w ciemnych a szczególnie w czarnym kolorze. Nieraz zapytywałem starych i młodych, co też widzą pięknego w tej smutnej barwie? — „Et! to taki najładniejsze“, — odpowiadali. Strój krótki, obcisły znamionuje mieszkańca gór całego świata, i odróżnia go od mieszkańców równin tak wybitnie, iż w każdym kraju, w najludniejszej nawet jego stolicy, śród tysiąca przeróżnych strojów narodowych, łatwo poznać górala. A strój ten jest potrzebą wskazany, nie hamuje bowiem swobody ruchów przy wspinaniu się na strome szczyty. Jak jednakowy niemal strój, tak również wspólne góralom gorące przywiązanie do stron rodzinnych, do owych gór, które ich ledwie nędznie wyżywić zdołają. Góral ostatecznością tylko zmuszony opuszcza je i to na czas krótki, a dłużej na równinach trzymany, tęskni do swych gór, posępnieje, zapada w otrętwienie moralne i fizyczne, wreszcie siły go opuszczają i umiera z wzrokiem ku swej ojczyźnie zwróconym.

Ale wróćmy do urwanego wątku naszego opowiadania. Jak już wyżej nadmieniłem, mieszkańcy gór Sanockich wyjątkowo śród górali całego świata, nie wiele mają zamiłowania do łowiectwa, natomiast namiętnie oddają się rybołowstwu, nie dziw więc, że doszli w tym względzie do pewnego artyzmu. W rozmaity też sposób łowią ryby. Czynią to w każdej porze, przy niskim stanie wód, czy też wysokim i rwącym, podczas deszczu lub tajania śniegów, często w połowie Czerwca pokrywających jeszcze wyższe szczyty gór. Zwykły włok staje się tu niepraktycznym, to też go prawie nie znają, innych uży-

wają przyrządów zastosowanych do pory roku, stanu wody, dnia lub nocy. Przy zwykłym stanie wody czystej jak kryształ łowią *płachtą* t. j. siecią kilka metrów długą a do dwóch szeroką, rozpiętą na dwóch mocnych laskowych kijach. Dwaj ludzie trzymając po jednej lasce postępują zwolna zawsze przeciw prądowi, i uderzają kosturami, zwanymi u nich *bełtami* przed sobą wodę. Ryby płoszone z dwóch stron, skupiają się w środku, a pragnąc wymknąć się miejscem, do którego bełty nie dochodzą, wpadają w środkową sieć, co widząc ludzie (przezroczystośc wody dozwala im dostrzedz), podnoszą szybko w górę płachtę, wyjmują rybę z sieci i wrzucają do torby płóciennej, jaką każdy z nich ma zawieszoną na plecach. Dno rzek górskich jest skaliste, kamienie zalęgające w łożysku dochodzą często do ogromnych rozmiarów, rybacy zatrzymują się przeto z płachtą przy każdym z takich kamieni, wiedzą bowiem z doświadczenia, że pod nim w dzień kryje się węgorz, ulubiona ich ryba jakoteż popłatna, lubo żydzi jej nie kupują, bo Talmud zabrania spożywać rybę bez łuski. Kamień taki otaczają w koło siecią i podnoszą go nieco, czem wypłoszony węgorz wymyka jak błyskawica z kryjówki i łowi się w sieci. Rybacy spiesznie obwijają go siecią i wynoszą na brzeg w przeciwnym bowiem razie węgorz silny i sprężysty mógłby wijąc się łatwo przedrzeć sieć i umknąć. Innym prostszym jeszcze sposobem łowią górale węgorze, wsuwając rękę pod kamień, gdzie się go znaleść spodziewają i chwytają. Niełatwe to do wykonania zadanie, trzeba do tego niemałej wprawy, bo węgorz śliski nawet silnie ujęty wymyka się. — Gdy woda wyższa, a więc mętna, łowią ryby na tak zwaną *padrywkę*. Jestto sieć rozpięta na dwóch w krzyż przełożonych kabłąkach. Taką sieć uwiązuje się na żerdzi do 10 metrów długiej, zatapia ją z brzegu w wodzie, a że ona jest mętną, więc ryby nie dostrzegając zasadzki swobodnie pływają między kabłąkami i wpadają w sieć, z której rybacy w pewnych odstępach czasu je wyjmują. Nic ciekawszego jak łówka ryb nocą, i to jak najciemniejszą. Zdala już widzisz na większych rzekach błyszczące ognie, jaskrawo odbijające swe światło od zwierciadła wód. Cisza w około, noc ciemna, gorejące ognie blaskiem swym rysujące fantastyczne kształty nadbrzeżnych skał, owe ludzkie postacie jakby duchy nocne snujące się z rozpalonem łuczywem, sprawiają dziwnie uroczy widok. Pierwszy raz bądąc świadkiem tego połowu, noc całą strawiłem na przypatrywaniu się jemu z zachwyceniem. Ognie służą do łudzenia ryb, iż dzień już zaświtał, wysuwają się więc z swych kryjówek i kupią się w miejscu oświeconem, wtedy w rozmaity sposób bywają łowione, mianowicie: siecią t. j. *oścą*, dosyć długą żerdzią opatrzoną w końcu ostrym grotem o dwu lub trzech zębach, małych haczyków czyli wąsów, służących do zabicia i zatrzymania ryby, prostym bowiem grotem ugodzona ryba śmiertelnie zemknęłaby się i uszła. W taki sposób łowione też bywają szybko jak błyskawica pływające pstrągi, które w dzień łowić prawie niepodobna. Łowią też rybacy przy świetle ryby pojedynczo w taki sposób. Środkiem rzeki lub potoku postępuje dwóch ludzi, jeden z nich przyświeca łuczywem, drugi poszukuje ryb śpiących pod kamieniami, wkładając pod nie rękę i wyjmując rybę. Innego też wielce przemyślnego sposobu używają górale. Zastawiają koryto rzeki od brzegów ku środkowi większymi i mniejszymi głazami, które w środku w ostrym kącie się z sobą stykają. Zatamowana temi dwoma grobelkami woda wartko spływa ku środkowi, gdzie umieszczone jast jakby koryto z pręci łozowych splecione, a zakończone worem czyli matnią, jaką widzimy w więcierzach lub włokach. Matnia leżąc poziomo ale nachylona w stronę spadu wody, nadaje wpadającej w nią wodzie prąd tak szybki, iż nie ma ryby, nie wyjmując nawet węgorza, którąby się zdołała oprzeć jego sile i wydobyć z matni. Taki przyrząd nazywa się u górali Sanockich, Stryjskich i Samborskich *laską*. Skoro ryby dopłyną do pewnej odległości tego sztucznego a stokroć szybszego jak w rzece prądu, porwane nim mimo oporu dostają się do worka, *rękawem* zwanego, do owej matni, z której je dwa razy na dzień rybacy wybierają. Pstrągi łowią w nieco odmienny sposób w tak zwany *odmiał* czyli zastawę. W znanych z przebywania w nich pstrągów potokach zastawia się w pewnych odstępach woda. Pod zastawą uchodzi wnet woda prawie zupełnie, a zbiera się w większej masie przed następną zastawą i tworzy zbiornik, w którą wszelka ryba, a nawet pstrąg w szczelinach skalnego koryta przebywający się ściąga. Wybierają ją rybacy bez trudu ztamtąd, dodać jednak należy, iż owa zastawa, utworzona z pociętych kawałków leszczyny lub krzewów jałowcowych, musi być znacznie wysoką, w przeciwnym bowiem razie sprężysty i wysoko rzucający się pstrąg przeskakuje ją łatwo. Przyznać trzeba, że górale Sanoccy mistrzami są w rybołowstwie, to też dziecię czy starzec urodzonymi są kłusownikami w tym względzie. Wszelkie wody czy to na własnym czy obcym gruncie są polem do działania. Włościanin nasz w ogóle nie ma jasnego pojęcia o własności, każdą zwierzynę, a więc i rybę, uważa jako dar Boży do użytku pospolitego przeznaczony, i bardzo się dziwi, gdy się jego zapędy po cudzą własność hamuje. Kłusownik łowiec lub rybak z lisią przebiegłością umie oszukać najczujniejszą straż, a zwłaszcza w górach nigdy prawie nie bywa schwytany na gorącym uczynku. Zna on wszelkie ścieżki i przesmyki, któremi umyka zagrożony, a zaskoczony na wodzie, uchodzi w iście koci sposób drapiąc się po prostopadłym skalistym, ale dosyć gęsto olszyną porośniętym brzegu. Śmiałość jego jest zadziwiająca, usunięcie się bowiem z pod stopy kamienia lub oderwanie gałęzi, naraża go na upadek z znacznej wysokości, a nazywają ją *ścianką*, na kalectwo lub nawet śmierć. Czyliż zwierzyna łowna ladajaka lub ryba jest ponętą do owych karkołomnych wycieczek? Nie! Raczej powab zakazanego owocu, który im z większym trudem i poświęceniem zdobyty, tem smaczniejszy, tem droższy. Gorżka ale istotna to prawda, i dużo jeszcze czasu ubieży, zanim lud nasz a zwłaszcza górski o tyle się uszlachetni, iż w poczuciu własnej godności będzie umiał szanować cudzą własność. Sprytu i przebiegłości górskich kłusowników dają wymowne świadectwo dwa następne zdarzenia. Chciwy badawczych spostrzeżeń, włóczyłem się z wyżej wspomnianym Józefem po całych dniach śród gór docierając aż do szczytów połonin. W jednej z takich wycieczek przybyliśmy do granicy wsi Kr., leżącej na szczycie wysokiej Magóry. Widok otworzył się nam wspaniały, i śniegiem pokryte szczyty Bieszczadu, tam Beskidem zwanego, rozłożyły się przed okiem naszem, a odblask promieni słonecznych od śniegu nie da się piórem określić. Wszystkie góry porośnięte gęstym jodłowym lub świerkowym borem, stanowiły olbrzymią czarną osłonę, a śnieg na nich co chwila zmieniał barwę w miarę wysuwania się tarczy słonecznej z po za szczytów. Uważałem, że często podnoża gór znajdowały się w jakimś półcieniu, a szczyty przeciwległego po stronie północnej ciągnącego się pasma gór *„Otryta“ kurzyła się* t. j. w połowie lub całkowicie spowite i osłonięte były białą powiewnie falującą mgłą. Uroczy to widok a tak łudzący, iż zdawało się, jakoby tam z kraterów wulkanicznych wybuchały dym i para. Zjawisko to zwykłe jest w górach, gdy w atmosferze przesuwa się zgęstniała wilgoć nocna, która ogrzana promieniem słone-

cznem rozrzadza się i niknie. Tak kurzą się góry w porze słotnej, gdy powietrze przesycone jest wilgocią. Kiedy ze świtem stanąłem w owem miejscu, jeszcze cała leśna przyroda ujęta była półsnem, drozd tylko z najwyższego szczytu jodły lub świerka zwiastował swym śpiewem bliski wschód słońca, lub żołna głośnem śród ciszy kowaniem w drzewa, z których kory wydobywa owady, budziła ze snu uspiony świat zwierzęcy do ruchu, życia, pracy, walki o byt. Jakoż wszczyna się zwolna wrzawa dzienna, pracowite mrówki wychodzą z wnętrza swej osady, skrzętnie ocierają przedniemi łapkami pyszczki, spieszą utorowanemi i oczyszczonemi ścieżkami w różne strony, i wracają do mrowiska to z materyałem budowlanym to z pożywieniem; głośno bzykając rusza mniej jak pszczoła wrażliwy na chłód i rosę trzmiel na kwiaty, wysysa z nich słodycz. Zwierzyna czworonożna zwłaszcza drapieżna strudzona nocną wyprawą po żer, układa się teraz do spoczynku, ale skrzydlata budzi się do wrzawliwego życia, już kruki poleciały na rozdobędę, kawki zwykle gnieżdżące się w rozpadlinach skał nadbrzeżnych, uleciały gromadnie na polanki w celu zbierania późno zasianego i licho zawłóczonego owsa, wrona rzadko do tej czeredy się przyłącza, bo ona niechętnie w górach gości, ale srok tu wiele, gnieżdżących się w sadach lub na szczytach olch na brzegach potoków lub rzek rosnących. W porze zimowej cisną się one do wsi z natręctwem, spadają na pokryte śniegiem pola, nie mniej na wcale nie bogate w pożywny żer śmietnik chaty, zwanej tu *hyżą*, zapewne od węgierskiego „*haza*“ (dom). Zwykle się dzieje, że sroki hurmą siadają na budynkach świeżo lub niedawno słomą poszytych, i do tego stopnia wydzierają słomę ze snopków poszewnych *(kiczek)*, iż mimo straszenia gospodarza *(gazdy)* po niedługim czasie dach aż do łat obedrą, — a zabobonni górale rokują ztąd głód. Trudno mi było ich przekonać, że czynią to sroki jedynie z głodu, szukając w zbitych kłosach ziarna, którego albo niedbały gospodarz nie wymłócił, albo z powodu późnego posiewu nie dojrzałe nie mogło być od kłosa oddzielone. W miejscu mego ówczesnego pobytu mieszkał we wsi żyd imieniem Mortko, słynny na całą okolicę krawiec damski, ulubieniec i wyrocznia żon ekonomów, księży, mandataryuszów tak, że często nawet do Baligrodu lub Lutowisk powoływano go do krawieckiego *consilium*. Żyd ten miał dwóch synów, starszy mający lat około 15 przeznaczony na uczonego, nic nie robił, tylko siedząc w kącie alkierza kiwał nad talmudem wiecznie w takt głową ogoloną z dwoma olbrzymiej długości misternie pozwijanymi pejsami; młodszy zaś brat jego wcale nie był do niego podobny, jak tamten kredowej bladości, z wyrazem idiotyzmu w twarzy, tak ten był żywy i rumiany, z dużemi czarnemi, dowcipnemi oczkami. Coś mnie pociągało do niego. Raz tedy przychodzi do mnie i mówi: „Jegomość dajte paperu“. — „Na co tobie papieru?“ — „Soroki łapić“. — Dałem mu kilka numerów starej gazety. Nazajutrz wybrałem się do chałupy Mortka w celu widzenia tych sroczych łowów, i ujrzałem rzędem na śmietnisku ustawione małe trąbki papierowe, jakich w sklepach do zawijania kupionych przedmiotów używają. Po chwili przyleciało kilka srok, poczęły skakać z zadartym w górę ogonem, skrzeczeć przeraźliwie, przypatrując się to jednem to drugiem okiem ciekawie ustawionym trąbkom, wreszcie jedna z najśmielszych uderzyła dziobem wewnątrz, i jak strzała uleciała wraz z trąbką w górę, unosząc się tak wysoko, iż zdawała się być małym punkcikiem, ale po chwili wysilona spadła o kilkanaście kroków od chaty. Za nią nie jedna też to samo uczyniła. Widok to był arcykomiczny, mogący nawet hipochondryka do serdecznego pobudzić śmiechu. Dowcipny żydek w taki sposób przyrządzał owe sidła na sroki. Skręciwszy papierową trąbkę, wtykał w cieńszy jej koniec kawałek chleba, boczne ściany smarował lepem z mąki, żywicy jodłowej i jakiegokolwiek tłuszczu. Mięszanina taka ma tę własność, iż długo nie tężeje. Skoro ciekawa, głodna, więc mniej ostrożna sroka pragnąc z wnętrza trąbki wydobyć chleb wetknęła dziób w nią, ściany jej przylgnęły do dzioba, głowy i oczów, a wtedy przerażona szybko wzlatywała do góry, ale wnet wysilona spadała na ziemię. Tak złowioną srokę przywiązywał na ziemię, kładąc ją na grzbiet, sroka darła się w niebogłosy, czem zwabiała towarzyszki, które zlatywały się do niej nie wiem czy z prostej ciekawości, czy też w celu udzielenia jej pomocy, skakały w koło niej i szwargotały na wzór gadatliwych kumoszek. Jedna chcąc zapewne uwolnić leżącą od trąbki, dzióbnęła w nią i przylgnęła do niej, i tak obie stały się zdobyczą czatującego żydka.

Wróćmy wszakże do kłusowników, których podstępy i sztuczki opisać zamierzam. Nasyciwszy oko przecudnym obrazem, jaki mi się przedstawił przy wschodzie słońca ozłacającego i barwiącego szczyty Bieczczada, ruszyliśmy dalej ścieżynką pomiędzy gęste zarośla i drzewa w jar aż ku potokowi wiodącą, który lubo jeszcze nie widoczny, głośnym szmerem się zwiastował, przewalając swe fale po dużych kamieniach. Postępowałem tą ścieżynką naprzód, a za mną Józef pykając z swej ulubionej fajeczki wcale niewonny bakun, tytoń przemycony z Węgier, nabity naprzód w żelazną albo glinianą fajkę, a następnie włożony w żar ogniska, które każdy góral, choćby tylko na chwilę zasiadł do spoczynku, natychmiast roznieca, a to głównie wcelu *pogrzania* fajeczki. Mokry tytoń rozparzony i zapalony syczy i skwierczy, a przez ciasny otwór krótkiego cybuszka przepuszczając smrodliwy dym, piecze piekielnie, w czem właśnie górale prawdziwy *haut gout* znajdują. Wrodzony mój zmysł badawczy srogiej doznał męki, gdym raz pragnąc poznać smak owej przechwalonej przez Józefa „*zapiekanki*“, pociągnął tego wonnego dymku. Skutek był przecudowny, przez kilka chwil nie mogłem uspokoić krztuszenia się i mocnego kaszlu, przyczem roniłem mimowolnie obfite łzy lecz nie skończyło się na tem, podniebienie i język tak mocno jakby ukropem sparzyłem, że ściągnąłem z nich skórę jakby *lenisko* z węża, a jak miłe potem miałem przez długi czas w ustach uczucie, może sobie czytelnik łatwo wyobrazić. Postępujemy więc śmiało ścieżką, gdy nagle czuję się jakąś herkuliczną siłą w tył porwanym. Dokonał tego brutalnego czynu idący za mną Józef, jak się okazało z koniecznej potrzeby. Na ścieżce nad samym brzegiem potoku zastawił kłusownik *stempicę*, którą zakrył mchem i suchymi liściami tak misternie, iż bardzo chyba doświadczone oko mogło dostrzedz ową zasadzkę. Naturalnie ja jej nie widziałem, ale Józef ujrzał ją w chwili prawie, gdym miał na nią stąpić, nie było więc już czasu do ostrzeżenia mnie głosem. dla tego tak gwałtownie mną w tył rzucił. W tej samołówce byłaby mi stempica albo nogę złamała lub co najmniej srodze skaleczyła. Takie stempice nastawiają kłusownicy górscy na zwierzynę wszelkiego rodzaju, najczęściej umieszczając ją przy potokach, na ścieżkach ponad skalistymi brzegami urwisk się wijących. Stempica urządza się w taki sposób. Dwa kilkucalowej grubości bukowe drągi zaparza się nad gorejącym płomieniem dla nadania im giętkości, poczem położywszy je obok siebie związuje się oba ich końce mocno skręconemi wiciami, umieszcza na ścieżce wzdłuż lub w szerz i przytwierdza do ziemi kołkami lub po prostu uwiązaniem do pni drzew. Pod spodem wygrzebuje się spory rowek, a następnie rozwodzi czyli rozszczepia się drągi we środku,

włożywszy w utworzony w ten sposób otwór cienkie poprzeczne drewienka, które przy najlżejszem dotknięciu wyskakują, a przedmiot dotykający wpada w rowek między drągi silnie po ustąpieniu poprzeczki z sobą się zwierające. W takie stempice łowią kłusownicy nie tylko drobniejszą zwierzynę, ale też sarny, wilki a nawet niedźwiedzie, gdy dążą w celu zaspokojenia pragnienia do wody. Silny niedźwiedź zwłaszcza stary często jednem targnięciem zrywa cały przyrząd, ale nogi z tego uścisku wyzwolić nie zdoła, więc Mysio uchodzi w góry wlokąc za sobą dosyć ciężką i bardzo mu dolegającą i zawadzającą samołówkę. Gdy kłusownik widzi wyrwaną z ziemi stempicę, idzie krok w krok za śladem, i drągiem lub siekierą ubija zmęczonego niedźwiedzia. — Szczerze podziękowałem Józefowi za wybawienie mnie z istotnego niebezpieczeństwa, on zaś zapewniał, iż takiej stempicy nikt prócz *Procia* nastawić nie mógł, że przeto tenże albo gdzieś w pobliżu na łup czatuje lub wkrótce tu nadejdzie. Zanim przystąpię do określenia kłusowniczych czynów owego *Procia* (Protazego), niechaj mi będzie wolno zboczyć nieco podaniem jego życiorysu, który on sam mi opowiadał. Był to niepospolity, może unikat kłusownika, i wątpię, iżby wielu było jemu podobnych. Urodzony z matki rusinki w Węgrzech, gdzie ona w jakimś dworze służyła, przyniesiony przez nią przed laty 40tu jako czteroletnie dziecko do ojczystej ziemi, pozostał już w niej na zawsze. Matka przywlokłszy się z nim zaledwie do pierwszej wsi galicyjskiej, umarła nie dawszy wyjaśnień, do jakiej gminy właściwie należy. Gazda, w którego chacie włóczęga umarła, indagował małego chłopczynę, i dowiedział się, że miano jego *Proć* a tato w *„lisi*,“ i nic więcej. Litościwa gazdyni nakarmiła wynędzniałego chłopca *czyrem*, potrawą z mąki owsianej z mlekiem lub po prostu z wodą. Chłopczyna nim zabrał się do jedzenia, wyjął coś z ust, i ukrył za *pazuchą*, t. j. za koszuliną, kawałkiem starej krajki przepasaną. Ciekawa gazdyni zapytała go, co też tak starannie ukrywa? *„Baga“* (prymka tytuniowa po węgiersku) odpowiedział. Odebrała mu ją i pokazała mężowi ów zwitek tytoniu mocno już wyssany. Wszyscy domownicy zdziwieni tem, orzekli, iż chłopca nazwać należy *Baga*, i został też Bagą na całe życie. Przybrani rodzice, dobrzy snać ludziska, zatrzymali sierotę w swej chacie. Była to już późna jesień, wkrótce też śniegi upadły, więc mały Proć zajął wraz z czworgiem małych dzieci swych opiekunów olbrzymi przypiecek w samym środku ogromnej izby umieszczony. Dym wychodzi na izbę grubymi kłębami przeciągając po nad głowy mieszkańców, wzbija się pod dach kwadratową dziurą w środku powały w deskach wyciętą, która, gdy na kominie lub w piecu się nie pali, szczelnie tak zwaną *babą*, czyli worem wypchanym sianem, się zatyka. Dzieci góralskie najczęściej do 6go roku chodzą nago nawet w zimie, a tem bardziej latem, toż Proć doczekawszy tego wieku, dostał jaki taki przyodziewek, i początkowo pasał *strzyżaki* czyli jagnięta gospodarza, których się na *sałasz* nie oddaje, tam bowiem idą same *dojki* czyli *maciorki*. Później został *pogoniczem* t. j. wodził woły, gdy gospodarz wiosną orał rolę pod owies, a nawet chodził *na pańskie* (pańszczyznę). W ten sposób przechodząc różne stopnie, doszedł do lat 16tu, gdy pewnego dnia, jak się wyraził: *gazdu jałycia pobyła, taj pomerły*, gospodarz umarł skutkiem przygniecenia spadającej podciętej jodły. *„Gazdynia sia potom zaswatała* (poszła za mąż), nowy gospodarz połowę dzieci *wyżer*, t. j. wyżarł czyli wypędził, a rozumie się i jego między niemi. W jednej koszuli *„riandyni“* *) i starej *„czuhoni“* *) z *„cidyłom“* **), poszedł na nową służbę. Po latach kilku został *bakuniarzem* t. j. przemytnikiem tytoniu, przenosząc go przez góry mimo baczności strażników finansowych. W owych czasach nie istniał jeszcze w Węgrzech monopol tytuniowy, siał go kto chciał i ile chciał, bywał też często przemycany na stronę galicyjską. Proć się wyraził: *„bakuniary mnia zradyły“* t. j. namówili, jako tako mu się na tym zarobku powodziło, później nawet bardzo dobrze, ale wreszcie sprawdziło się na nim przysłowie o dzbanie i uchu. Pewnej ciemnej nocy, gdy z czterma towarzyszami, ciężko obładowani *papuszami* (pakami po kilka funtów ważącymi) przeprawiali się, napadli ich *legry* (strażnicy finansowi) jego ranili, jednego lotkami zastrzelili, reszta zaś towarzyszy uciekła. *„Mene złowyły, zwiazały i neżywoho do Sambora do kryminału widdały“*. Odsiedziawszy 16 miesięcy w indagacyach, skazany został na dwa lata więzienia. Odsiedziawszy karę, miał być wzięty w rekruty, ale rana od postrzału czyniła go niezdolnym do wojska. Bywał potem tym i owym, nigdy wszakże złodziejem. Lud wszelką inną kradzież, byle nie pieniędzy, bydła, zboża lub przez włamanie się do *komory* t. j. alkierzyka w tyle chaty położonego, magazynu a raczej skarbca mniej lub więcej zamożnego gazdy, — nie nazywa złodziejstwem. Nie jest u tego ludu kradzieżą wszelka szkoda poczyniona w polu przez wypasienie zboża, łowienie ryb na obcym gruncie, w lesie zrządzona wycinaniem drzewa, łowieniem i ubijaniem zwierzyny lub rozszerzaniem swych polanek, *„płazowinami“* zwanych, gęsto rozsianych po dworskim lesie, które jakby cudem z każdym rokiem z uszczerbkiem sąsiedniego lasu się powiększają. W tej mierze postępuje sobie chłop górski nader przemyślnie. Upatrzywszy równiejszą stronę lasu, przytykającą do jego polanki, na wiosnę albo nacina w niej drzewa lub z kory je odziera, i pozostawia w takim stanie aż do następnej wiosny, przez który czas usychają, wtedy podkłada pod nie ogień, którym nietylko te ale i sąsiednie niszczy. Takim sposobem rozszerza swój grunt, zasiewa owies, zbiera, aby w obec prawa pozyskać dowód legalnego posiadania.

(Dokończenie nastąpi).

*) Nazwa węgierska oznaczająca łachman.

KORESPONDENCYE.

Kilka Numerów „Łowca“, jakie szczęśliwym przypadkiem dostały się do rąk naszych, przyniosły przekonanie, że Galicyjskie Towarzystwo łowieckie ukonstytuowane jest w większej części z osobistości posiadających w kraju najwyższe znaczenie, inteligencyę, zamożność i poszanowanie. Tak wysoce dostojnemu Towarzystwu, godzi się zaiste zaproponować użycie przyjemności myśliwskiej takiej, z jaką nic w historyi Łowiectwa porównanemby być nie mogło, a to tem snadniej, że jak z jednej strony donioslość niewątpliwych rezultatów zdaje się być podniętą do przyjęcia tej propozycyi, tak z drugiej znowu urzeczywistnienie onej, środki jakimi rozporządzają dostojni członkowie Towarzystwa, czynią ją bezwarunkowo możebną.

*) Rodzaj bundy góralskiej odziewanej nie na rękawy, te bowiem zaszyte są u dołu i służą jako kieszeń do przechowania różnych przedmiotów.

**) Jestto rodzaj peleryny, czyli raczej przedłużenie kołnierza prawie aż do trzeciej części długości czuhoni sięgający, którego dolna część opatrzona często do 5 cali długiemi frędzlami białego koloru nie przyszywanemi, lecz już tak sukno na cidyła przeznaczone bywa utkane.

Propozycyą tą jest: Wycieczka myśliwska do Cylicyi i łowy miesiąc lub dłużej według woli trwać mające.

Zanim przystąpimy do szczegółów samej wycieczki, wypada przedewszystkiem skierować porównawczy i treściwy rzut oka na pole i zwierzostan.

Porównywając obszary i zwierzostan oraz ulepszone sposoby łowieckie w Galicyi z temiż samemi danemi w Cylicyi, przychodzi się do przekonania, że w dość silnie zaludnionej Galicyi, myśliwskie pole jest znacznie mniejsze i ograniczone w tym prawie stosunku, w jakim ludność tameczna przenosi liczebnie ludność Cylicyi. Bo gdzie ludzie i kultura szeroko rozprzestrzeniają się, tam zwierz mianowicie gruby ustępuje; — i przeciwnie, gdzie ludzi mało i stan ich na pół dziki nie daje suppremacyi nad zwierzęciem, tam ono rozmnaża się bez przeszkody, żyje swobodnie i urąga się z niedołężnych chęci człowieka pokonania go siłą lub zdradą. Pole zatem łowieckie jest znacznie obszerniejsze, a zwierzostan znacznie bogatszy i liczebnie i rozmaitością gatunków w Cylicyi. Cóż dopiero powiedzieć o ulepszonych sposobach łowieckich, a mianowicie o strzelbach centralnych, doskonałem użyciu strzelb, doskonałym prochu, doskonałych psach myśliwskich, umiejętnem urządzaniu łowów i t. p. rzeczach? W Galicyi wszystko to stoi na kulminacyjnym szczeblu; tutejsze kraje tego zupełnie nie znają, a nieznajomość ta, dziwnie znowu sprzyja utrzymaniu ich zwierzostanu w obfitości zdumiewającej! Otóż gdy dostojni członkowie Galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego piszą do „Łowca“ panegiryki i dzieje pochodów myśliwskich, a nawet stawiają pomniki dla jednego dzika, — to gdyby przyszła im chęć zrobienia wycieczki myśliwskiej do Cylicyi, tû po ubiciu 20 dzików niktby nie spieszył jeszcze pióra umaczać w kałamarzu! A jakaż to różnica co do samych dzików! W Galicyi, ciągle prześladowane i ścigane, są znacznie mniejsze, bo ruch zbyteczny i śmierć przedwczesna nie pozwalają im dorość normalnych kresów. Na Wschodzie znów co innego; tu Mahomet zabezpieczył dzikom ich sędziwą starość. Żyją tedy swobodnie, pogardzone przez Islamów i gardząc nimi wzajemnie; — a gdy polując na czerwone kuropatwy lub frankoliny, przychodzi się zejść przypadkiem odyńca lub drużynę, a to się ciągle przytrafia, to oczy nawet naturalisty łudzą się nieraz, że te potwory podobniejsze są do hippopotamów niż do dzików, — tak są wielkie! Gdyby tylko jednak wielka ilość dzików, jaka się tu znajduje, stanowiła zwierzostan łowny, wtenczas nie warto byłoby ani czynić, ani tem mniej przyjmować propozycyi. Ale dzik jest tu ostatnim szczeblem zwierzostanu. Jest tu jeszcze inna i bardzo obfita zwierzyna, a mianowicie:

W górach Cylicyi znajdują się: Jeleń, daniel w stanie dzikim, sarna, baran dziki *(Ovis musimon)*, koziorożec *(Capra ibex)*, inny gatunek kozy *(C. aegagrus)*. Na stokach i równinach, pojedyncze lub w stadach gazelle *(Antillope dorcas)*. Za tak urozmaiconym i liczebnie obfitym zwierzostanem łownym, idzie niedźwiedź *(Ursus syriacus)*, oraz liczne mięsożerne. — Są tu pantery, karakale, rysie oraz inne koty; są hyeny *(H. striata)*, wilki i mnóstwo szakali i lisów; do tych dwóch ostatnich myśliwi na Wschodzie zwykle nie strzelają.

Z ptactwa miejscowego, przedmiotem polowania być mogą dość liczne frankoliny na płaskowzgórzach bliższych morza i niepoliczone tysiące czerwonych kuropatw *(Caccabis saxatilis)* po górach. Na zimowisko zlatują tu w wielkiej ilości słomki, kaczki, gęsi i t. d. co jest jednak rzeczą podrzędną.

W pośród takiego zwierzostanu, myśliwi mogliby z wielkim interesem i powodzeniem użyć rozkoszy myśliwskiej aż do przesytu, a na pamiątkę tej wyprawy, obdarzyć Muzea zoologiczne we Lwowie i Krakowie drogocennymi i rzadkimi przedmiotami, jakie tu zdobyte być mogą, i których odpreparowanie tu na miejscu z całą znajomością sztuki jest zapewnione. Pozwolenie na polowanie jest tu zbyteczne, a nawet władze tureckie mogłyby to uważać za śmieszność, gdyby kto o nie prosił. Pożyteczną jednak byłoby rzeczą wziąć w przejeździe przez Stambuł rozkaz ministra spraw wewnętrznych do Valy'ego Adany, aby możebnych ułatwień nieodmawiał, co z łatwością wielką za pośrednictwem uprzejmej ambasady Austro-Węgierskiej pozyskanem być może *stante pede.*

W tych niezmiernych obszarach górzystych dobre są psy gończe — ale można też wymustrować nagonkę z miejscowych ludzi.

Z przyborów myśliwskich potrzebne są: Strzelba, rewolwer, jeżeli być może i sztuciec, dostateczna ilość kartuszów, prochu i różnego ołowiu, mianowicie loftki cienkie i średnie, wreszcie kule i kule rozrywne, których efekt przy celnem strzelaniu jest zadziwiający. Trzeba się zaopatrzyć w silne lekkie obówie, — posłanie myśliwskie, psy gończe. Dla umniejszenia kosztu wyżłów brać nie trzeba. Nasze wyżły będą służyć. Z przyborów kuchennych grunt: dobry kuchmistrz, assortiment pochodowy myśliwskiej kuchni, konserwy i przyprawy suche, oraz grzyby suszone, których tu nie ma. Wódki z winogron są na miejscu dobre, wina tutejsze są z Libanu i Cypru, kawa wyborna, ale rumu nie ma, a herbata niegodziwa, w tę ostatnią trzeba się zaopatrzyć. Zresztą wszystko na miejscu po cenach umiarkowanych lub niskich, a nawet bajecznie niskich znajduje się.

Podróż, to jest marszruta proponuje się:

Z Galicyi koleją żelazną przez Ruszczuk do Warny. — Ztąd parostatkiem na Konstantynopol, Smyrnę do Mersyny, zkąd 9 godzin drogi dyliżansem pocztowym na Tarsus do Adany. Adana miasto Vilayetowe, dość znaczne i zamożne, będzie punktem oparcia i główną rezydencyą myśliwych. Ztąd projektować się będą polowania na wszystkie strony.

Wielka ilość zwierzyny, której zużyć na miejscu będzie niepodobna, może być zakonserwowaną i wyekspedyowaną np. do Wiednia, ułożywszy się wcześnie o dostawę i ceny, które mogą posłużyć na stosunkowe pokrycie kosztów wyprawy.

Dwa lata temu dwóch Węgrów polowało tutaj na daniele, w ciągu miesiąca ubili 70 danieli i wartością tej zwierzyny zamarynowanej pokryli koszta swej wyprawy. Vice konsul austryacki w Aleksandrecie skonstatował skóry tych danieli.

Najwłaściwsza pora do rozpoczęcia polowania, byłyby miesiące Listopad i Grudzień. Jeżeli zatem propozycya niniejsza może być przyjętą, w takim razie dostojni myśliwi o dniu, w którym postanowią wyruszyć w drogę, raczą wcześnie nas uwiadomić listownie lub drogą telegraficzną pod adresem: Karol Brzozowski vice konsul Hiszpański *(Charles Brzozowski v. Consul d'Espagne à Lattaquié-Syrie)*, abyśmy przed ich przybyciem do Mersyny mogli się tam udać i poczynić przygotowania potrzebne, — i użyć współdziałania naszego przyjaciela p. Geofroy v. konsula franc. w Adanie.

Nie ulega wątpliwości, że nie wszystkim dostojnym członkom Towarzystwa łowieckiego ważniejsze interesa dozwolą oddalić się od nich; niepodobna jednak przypuszczać, aby wszyscy bez wyjątku znajdowali się w tej niemożności i wypada mieć nadzieję, iż chociaż niektórzy z nich będą mogli złożyć wyprawę proponowaną. Jeżeli takowa zatem uwieńczoną będzie pomyślnym skutkiem, w takim razie dostojni myśliwi za trudy podróży swojej nietylko w rozkoszy znamienitych łowów, o jakich w Europie nawet marzyć nie można,

znajdą pełne zadowolenie, ale nadto jeszcze wszędzie po drodze swojej spotkają klasyczne pamiątki starożytnego świata i oczarowani zostaną widokiem nieporównanej piękności krain najwyższej dawnej cywilizacyi, dziś marnie opiece przyrody porzuconych. — Najbardziej zaś malownicza Cylicya, powita ich i przemówi do ich duszy tak wzniosłym wyrazem, jakim odzywał się tylko Wielki orator i prokonsul rzymski (Cycero), który tu niegdyś rządził. *Karol Brzozowski.*

Bobin, Sierpień 1880.

Młody nie zawsze myśliwym, myśliwy zawsze młodym, młodym na ciele i umyśle. Areną działania myśliwego dzikie bory, obszerne pola. Każdy strzał, każde wystawienie wyżła, każdy miot, wszystko różne, nie podobne do poprzednich, każdy dzień ma swoją odrębną historyę. Prawdziwy myśliwy nie dba o poklask publiki, lubo miłą mu jest dobra opinija u kolegi, cieszy się trofeami śród trudów zdobytemi czyto sam, czy w towarzystwie. Dusza jego nieustannie w nastroju poetycznym, bo też w koło go woń poezyi otacza. Myśliwy, gdy go wiek, kalectwo lub choroba przygnębią, zawiesza strzelbę na kołku, chowa jako wierną towarzyszkę w latach ubiegłych, jako drogą pamiątkę, lub też zdaje ją na syna — ale myśliwym być nie przestaje, wabią go powaby przyrody, wabią go łowy, interesuje się zwierzostanem, literaturą łowiecką, stanem atmosfery, pól, łąk, lasów — nie poluje lecz bada. Wy którzy się myśliwymi zowiecie, iluż z was na tę nazwę zasługuje?

Myśliwy, stary popraw, a jak strzela! W dzień czy w nocy człek niezdarty, niewygody, chłodu, głodu, ni kieliszka się nie lęka, krocie ptactwa, szaraków tysiące, setki dzików i grubego zwierza ma na sumieniu, a jak wabi, a odwiatry jak przyprawia — to myśliwy? — nie to strzelec!

Myśliwy — strzał pewny, lubi kulę, a choć na pewne strzela, często pudlarz, nie ma co mówić godny obywatel, ale człek nieużyty, raz na rok daje polowanie, i to starannie dzień obiera, sam się tylko po błotach włóczy, żonie nawet zająca żałuje, krzaki po polach sadzi, karmę zwierzynie rozwozi, a z tego nikomu nic, krótko mówiąc samolub — oto prawdziwy myśliwy!

Strzelec wyniszcza zwierzynę, przynosi szkodę krajowi, nic nie produkuje, a gdy już wszystko w koło siebie wytępił, nie umie pożytecznie użyć czasu, bo się pracować nie nauczył, nie poznał wartości czasu i nie pojął, że pracą wszystko się zdobywa zwłaszcza pracą popartą wiedzą, że ona wiedzie do każdego zamierzonego celu, praca daje spokój, zadowolenie, miłość Bożą, przyjaźń ludzką i dobrobyt. Gdy więc strzelec powlókł się na codzienne, bezskuteczne łowy, powlókł swego sąsiada, służbę, a co gorsze nawet swego syna; to już wtedy ciasno mu w swoich granicach, pragnie cudzego, wyrzeka na niesprawiedliwość wyroków opatrzności, na swego sąsiada pudlarza, samoluba, którego gajowy tak go codziennie jątrzy swą nieruchomą na granicy obecnością.

Myśliwy prawdziwy często zapomina, że jest myśliwym, spokojnie oddaje się pracy swego zawodu, jeśli jest właścicielem ziemi, to dba o włościan, służbę i domu dostatek, sprawy krajowe i zagraniczne nie są mu obce, wieczory poświęca dziennikom, książkom i regestraturze, w dzień zaś skrzętnie zabiega, by dla niego, dzieci i dalszej potomności wystarczyło, bada przyrodę, ze wszystkiego wyciąga naukę i pożytek, sieje i sadzi, dba o ogród, pola, lasy, próżniactwa nie znosi, sam produkuje, wszystko więc w koło niego pomagać mu w tem powinno, nieużytków nie cierpi, bo ziemia próżnująca próżniactwo mu przypomina, więc pomoże ziemi, ocieni ją, zagai, zniewoli do zrzucenia nieużytecznej skorupy — i tak stworzył zagajniki, zarośla, lasy, zbudował mieszkanie dla zwierzyny, a zanim z drzewa skorzysta, już się i zajęcy namnożyło i sarna się przewinie. U pracowitego każdy podwładny pracowity, to też polowy, gajowy, oficyalista pilnuje dobra pańskiego i chroni je, przybywa więc zwierzyny, ryb w stawie, mnoży się wszelki dobytek. Gdy roboty pokończone, a czas nadszedł polowania, zaprosi sąsiada i przyjaciela, jedzie na pewne, iż czasu marnie nie straci, w dzień zapoluje, wieczorem się zabawi, a że grzeczność grzecznością się płaci, wybiera się w gościnę myśliwską, i tam całem sercem witany mile czas spędza. Dziwi się sąsiad strzelec i zazdrości tej kanonady u samoluba pudlarza nie pomny, iż on był destructorem, tamten zaś constructorem.

A zatem powtarzam raz jeszcze, iż prawdziwy myśliwy zawsze jest młodym — a po śmierci żyje w dzieciach i owocach swej pracy, bo w najodleglejszych czasach one przypominać go będą wnukom i prawnukom, którzy niestety często z chłodną krwią tępią niebotyczne lasy przez nich zasiane i chronione, trwonią lekkomyślnie skarby ich trudem i pracą mozolnie zebrane.

Należę już do rzędu myśliwych nie polujących, więc rozpamiętuję przeszłość, marzę o przyszłości, a myśli moję ślę czytelnikowi „Łowca“ z gorącem pragnieniem, iżby on w łowiectwie nie czczej rozrywki, lecz raczej nauki i pożytku szukał. *Alfred hr. Łoś.*

KRONIKA.

Olejów, 6 Września.

W myśliwstwie tak ściśle związanem z przyrodą, odkrywamy nieustannie tajemnice, spotykamy się z niespodziankami, a poezya towarzyszy nam w tym zawodzie na każdym kroku. Od niepamiętnych czasów oskarżano myśliwych o rozbrat z prawdą, o ubarwianie opowiadań tworami fantazyi wbrew przeciwnymi rzeczywistości, o wyczarowanie zjawisk nikomu nieznanych, jednem słowem oskarżono jeżeli nie wprost o kłamstwo, to zawsze o przesadę, wykraczającą z pewnej miary i z prawdopodobieństwa. Nie można wszakże myśliwym zarzucić bezwzględnie wstrętu do prawdomowności, raczej należy uwzględnić zjawiska wyjątkowe i istotnie mało prawdopodobne. — W dniu 26 Sierpnia b. r. kosiłem kosiarką koniczynę, i śród tej roboty spostrzegł z niemałem zdziwieniem parobek borsuka młodego, zupełnie wykształconego, krwią zbroczonego, z rozciętą głową, konającego. Komu znane jest warczenie, świtanie, hurkotanie kosiarki tak rażące, iż nawet nie łatwo koni do niej dobrać, ten niezawodnie zdziwi się mocno pojawieniem się przy niej tego ciszę miłującego i ostrożnego zwierza. Niepodobna przypuścić, iż sen twardy go tam zatrzymał, gdyż hałas kosiarki obudzić zdoła nawet letargiem uspionego, było to więc chyba jakieś zagadkowe przywarowanie, plan nieszczęśliwie obmyślany, a zgubnie wykonany. Od lat pięciu tnę maszynami zboże i koniczynę, często niszczyły one zniesienia przepiórek i chróścieli, ścinały głowy ptakom, dwa młode zajączki wpół rozcięły, ale większego zwierza zawsze wypędzały, a wypadek przywiedziony należy niezawodnie do nader rzadkich i nadzwyczajnych. Pospieszam udzielić kolegom w Nemrodzie tej wiadomości z wezwaniem, aby podobne anormalne wydarzenia skrzętnie zbierali i podawali w organie naszym jako przyczynek do różnostronnych przejawów w życiu zwierząt łownych.

Kazimierz hr. Wodzicki.

Stawiszcze, 19 Września.

Dnia 17 b. m. brałem udział w polowaniu na wilki z sieciami na Ukrainie w dobrach szwagra mego Władysława hr. Branickiego. W lasku niedaleko domu trzymało się całe stado 9 sztuk wilków, t. j. para starych, 2 przelatki i 4 młodych. Przed polowaniem obstawiono miot, w którym były wieczorem zeszłego dnia wysłuchane, do koła sieciami i ludźmi. Przy cudnej pogodzie wybraliśmy się na nie w 9 strzelb. Obstawioną knieję brano z nagónką trzy razy i za każdym razem były wilki;

łatwo więc sobie wyobrazić jak gęsto padały strzały w linii myśliwych. Rezultat nader świetny ukoronował pracę całodzienną. Stara suka, jeden przelatek i cztery młodych już bardzo dużych, razem sztuk sześć, rozłożono. Dwa silnie postrzelono, spodziewamy się lada chwila, że je odnajdą. Stary pies tylko zdołał ze zwykłą sobie chytrością niestrzelany umknąć. Na mnie wyszedł tylko jeden przelatek; zabiłem go na miejscu. W tych dniach polujemy jeszcze na wilki w dobrach Białocerkiewskich, o rezultacie doniosę. *Józef hr. Potocki.*

Jako stary myśliwy, polując już przeszło lat 60, uważam za obowiązek podać do wiadomości naszych myśliwych wypadki łowieckie, których albo sam doświadczyłem, albo je mam od naocznych świadków. Lubo nie mało już pisano w „Łowcu" o lisie na drzewie, to jednak i ja dla utwierdzenia tej pozornie nieprawdopodobnej właściwości tego zwierza przytoczę kilka tego rodzaju wypadków.

Było to w późnej jesieni, roku nie pamiętam, w nocy przyprószył pierwszy śnieżek, więc rano ponówka była wyborna. Wybrałem się na polowanie ze sługą i sworą ogarów do lasku Swistelnickiego, rozłożonego śród pól na przestrzeni około stu morgów, zwanego Kolędnikiem. Wszedłszy do niego, spostrzegłem na ścieżce trop lisa, więc nie puszczając psów szedłem za tropem aż do potężnego dęba, przy którym trop znikł. Zdziwiło mnie to i naturalnie naprowadziło na wniosek, iż lis musiał chyba na drzewo wskoczyć. Kazałem służącemu wspiąć się na drzewo, a gdy już dosyć wysoko się na niem posunął, spostrzegł w jednej z grubych gałęzi wypróchnienie, które mi wskazał. Podałem mu pręt laskowy z poleceniem, by go zagłębił w otwór, sam zaś przygotowałem się do strzału. Po chwili widzę wysuwającą się z otworu głowę lisią, do której mierząc strzeliłem, poczem lis wyskoczył, i padł martwy na ziemię. Lis ten miał na sobie ogromną mnogość pcheł, ale znacznie większych jak zwyczajne. Zdaje się, że go jako chorego owe pchły tak gęsto obsiadły, i że w dziuple szukał przesilenia choroby lub śmierci. Pierwszy to raz przekonałem się, że lisów nietylko na ziemi szukać należy.

Kazałem psy spuścić, i idąc dalej pilnie wpatrywałem się w drzewa, i wnet spostrzegłem na jednym dębie coś do lisa podobnego, a zbliżywszy się ujrzałem na gałęzi warującego lisa z zawiniętą kitą. Po strzale spadł bez życia. Nie był on jak poprzedni zapchlony. Tak więc w przeciągu jednej godziny dziwnym wypadkiem upolowałem dwa lisy na drzewach.

W następnym roku jadąc do tego samego lasku, wstąpiłem do dworu p. D. z propozycyą wspólnego polowania, ktorą on chętnie przyjął. Po drodze opowiadałem mu o owych dwóch na dębach zabitych lisach, on zaś widocznie z niedowierzaniem się uśmiechał. Wszedłszy w las, kazałem psy puścić, i wnet zaczęły gonić. Przypuszczając, iż może lisa pędzą, spieszyłem do jam, nim jednak dobiedz zdołałem, już przy nich psy były i ucichły, ale wietrząc uganiały w koło. Byłem pewny, że lis skrył się do jamy, a że tropów nie można było rozeznać śród gęstych śladów psich, wpadło mi na myśl rozglądać się po drzewach. Jakoż spostrzegłem na dębie warującego lisa, śledzącego wzrokiem mnie i psy. Przygotowałem się do strzału, ale pragnąc niedowierzanie pana D. najistotniejszym faktem uleczyć, hopkam na niego, nie spuszczając lisa z oka. Mimo długiego nawoływania, pan D. nie nadchodził, więc zniecierpliwiony strzeliłem, i łatwą pozyskałem zdobycz. Dopiero strzał ściągnął pana D. ku mnie, a gdy mu opowiedziałem, co się stało, i pokazał martwego lisa, z niedowierzaniem przystąpił do sprawdzenia wypadku. Wdrapał się w tym celu na drzewo, a gdy spostrzegł w gałęzi wbite śróty i świeże zadraśnięcia, uwierzył, i niepomału się dziwił. *P. L.*

Na zapytanie pana Wojmira z Królestwa odpowiadamy, iż bliższej wiadomości o zajęczarniach w Czechach zakładanych zasięgnąć może w każdej chwili odnosząc się do: „Böhmischer Forstverein", lub do któregokolwiek zarządu łowiectwa w dobrach wskazanych w artykule pana Gostyńskiego: O łowiectwie w Czechach.

Dr. F. Kratter doniósł nam z Steyer dnia 30 Sierpnia, że dnia poprzedniego zabił w Alpach kozicę (samca), drugiego zaś chybił.

Żaby wrogie karpiom. Pewne szląskie pismo podaje: Stawniczy w dobrach hr. Schaffgotsch w Warmbrunn, doniósł że spuszczono jeden z większych stawów w celu rozdzielenia znajdujących się tam karpi różnych lat. Gdyśmy przybyli — opowiadają naoczni świadkowie — zastaliśmy już staw prawie bez wody, tysiące karpi przerzucało się w namule, a wielka liczba robotników zajęta była oddzielaniem większych karpi od mniejszych i wrzucaniem tychże do koszów. Uderzyło nas bardzo, iż na wielu karpiach siedziały z rozszerzonemi łapami żaby, które usiłowały na grzbiecie ich się utwierdzić. Zawezwany stawniczy o rozjaśnienie tego dziwnego zjawiska, rzekł, iż żaby są bardzo groźnymi wrogami karpiów, i co roku wyrządzają szkodę w nich na trzy do czterech procentu, rzucając się na ich grzbiet, przedniemi łapami czepiają się jam ocznych, i żywią się szluzem i żerem, jaki na paszczy karpiów znajdują. Na czystej i otwartej wodzie, opowiadał dalej stawniczy, rzadziej udaje się żabom przyczepić do karpiów, szybki bowiem zwrot tychże zrzuca je, ale gdy się one raz na grzbiet dostały, to już karpie zgubione, siedzą bowiem tak mocno, że zrzucenie ich jest niepodobnem. Śmierć karpiów następuje po dwóch lub trzech tygodniach głównie z tego powodu, że żaby zatapiają przednie łapy w jamy oczne, przezco ryby ślepną i giną z głodu. W celu stwierdzenia swego opowiadania pochwycił stawniczy żabę, siedzącą na karpiu ważącym około półtrzecia funta, za tylne łapy, i podniósł ją wraz z karpiem w górę. Dopiero po mocnem wstrąśnieniu mona było oddzielić od siebie te dwa zwierzęta. Karp ów był znacznie żółciejszy od zdrowych, najzupełniej wychudzony, i zaledwo słabe dawał znaki życia.

Obsiadanie karpiów przez żaby jest wiadome, przyczyna jednak dotąd nie zbadana. Niektórzy rybacy twierdzą, iż żaba lubi światło, szuka przedmiotów lśniących, a uczepiwszy się ich, nie może się już od nich oddzielić. Twierdzą oni nawet, że oko rybie działa na żaby tak pociągająco, jak czerwona szmata, używana tak skutecznie do łowienia żab. *Jagdzeitung.*

Sprostowanie. Bywają ludzie, którzy pisząc zaledwo połowę swej myśli na papier kładą, reszty każą się domyślać. Takim zdawał nam się być autor umieszczonego w ostatnim Nrze „Łowca" artykułu p. t. „Niedźwiedzie w Siedmiogrodzie". Opis tam bardzo niejasny, zostawiający czytelnikowi obszerne pole do domysłu. W tym razie inaczej rzecz się ma. Otrzymaliśmy z Redakcyi Pisma: „Jagdzeitung" komentarz do owej niejasności, mianowicie uwiadomienie, iż przez omyłkę opuszczono w owym artykule cały ustęp, który wypadek opisany rozjaśnia. *Po ustępie:* „Teraz również nie można było na pewne strzelić, bo niedźwiedzica pomykała ciągle prawie gąszczem" — ***należy dodać:*** „gdy wszakże pierwszego przepuściłem bez strzału, nie chciałem i tym razem toż samo uczynić, więc najdogodniejszą upatrzywszy chwilę. strzeliłem. Po strzale dało się słyszeć straszliwe mruczenie, a trafiona niedźwiedzica poczęła się kręcić w koło. Chciałem właśnie posłać jej drugę kulę, gdym w porę jeszcze spostrzegł, że druga szara niedźwiedzica, znowu z dwoma młodemi, prosto szła na mnie. Ponieważ stałem jej w drodze, więc corychlej strzeliłem trafiając ją w samo serce, poczem rycząc wściekle runęła i stoczyła się ku przepaści, na pięć kroków odemnie, ale zatrzymała się na głazie. Nagle zerwała się z wyrazem wściekłości w oczach, rozglądała się wstecz, wtedy chwyciłem drugą strzelbę (przy łowach na niedźwiedzie mam zawsze dwie strzelby, i radzę każdemu myśliwemu tejże zasady się trzymać), i posłałem jej drugą kulę w serce. Znowu padła, ale z wielkim wysileniem się dźwignęła, podniosła na tylnych łapach, i rzuciła się ku mnie, przednie łapy do śmiertelnego uścisku wyciągając. Prawie oparła się o moje lufy, gdy trzecią kulę w komorę otrzymała, poczem na kilka kroków przedemną charcząc runęła na ziemię. W tejże chwili wypadł jeszcze ogromny niedźwiedź, i poszedł, ponieważ wszystkie cztery lufy mając nienabite zachowałem się zupełnie spokojnie. w odległości dziesięciu kroków odemnie, brzegiem jaru. Gdy znikł poza skałą, skorzystałem z tej chwili, nabiłem szybko strzelbę, i miałem jeszcze dosyć czasu strzelić do niego, gdy się znowu pojawił, przełamać mu krzyże, poczem padł i stoczył się ku mnie". — *Po tym opuszczonym ustępie dopiero następuje:* „Krzakowi leszczyny i t. d.

Co lis jada? Jakie jest pożywienie lisa? Na to zapytanie wyliczy mi doświadczony myśliwy i uczony badacz przyrody długi spis inwentarza jego spiżarni, — ja zaś dodam z własnego doświadczenia, iż żywi się on także pokojowymi pieskami. Zadziwi to zapewne sz. czytelnika, i obudzi w nim podejrzenie, iż na karb znanego złoczyńcy Mekity wszelkie już zbrodnie bywają policzone, i że to posądzenie przesadnem jest i niesprawiedliwem. A jednak jest to faktem stwierdzonym naocznie przezemnie, nie waham się przeto, podać go do wiadomości publicznej.

Było to w r. 1845. Łaskawi czytelnicy zechcą sobie przypomnieć, że podówczas rekrutowano do artyleryi austryackiej przeważnie Czechów i Niemców, w nich bowiem, zwłaszcza w czasie spokoju upatrywano jedynie wrodzone talenta do tej gałęzi wiedzy militarnej. Otóż ci artylerzyści mieli we Lwowie koszary swoje w tak zwanym „Czerwonym klasztorze", przy którym urządzili sobie wcale starannie ogródek. Tam to wypijali oficerowie bawiąc się kręglami i gwarną pogadanką liczne ku-

felki bawara, tam też przechowywali jakby w małym zwierzyńcu różne zwierzęta. Był tam i duży orzeł w klatce podobnej do małej altany, i sarna kicająca swobodnie i para zajęcy, i lis wreszcie przemądry, którego w lecie lokowano w środku ogródka na niewielkiej przestrzeni siatką drucianą obwiedzionej. Przypięty na łańcuszku swobodnie przechadzał się po niej, a w kącie umieszczoną była budka, gdzie w nocy, od upałów i złego powietrza się chronił. Zwierzęta te żywione były kosztem wszystkich oficerów. Z miesięcznej gaży składali oni pewną kwotę w ręce kapitana, komendanta koszar, a ten codzień dawał swemu służącemu, zwanemu podówczas *forysicem* cząstkę jej na zakupienie żeru dla zwierzyny. Musiała suma składana przez oficerów być dosyć znaczną, kiedy na samego lisa, którego nazywano *fuchserl*, przypadało dziennie 6 dudków czyli 18 krajcarów walutowych ówczesnych. Na owe tanie czasy była to kwota ogromna. Przed tym zwierzyńcem nigdy nie brakło spektatorów, tłumnie oblęgali oni zawsze sztachety drewniane ogródka. Młodym podówczas będąc chłopcem, ile razy udało mi się wymknąć na swobodę od srodze trapiącej mnie książki, biegłem do owej *kanonierskiej kasarni*, a wabił mnie szczególnie lis, którego składnym ruchom, mądremu wzrokowi i długiej kicie z upodobaniem całemi godzinami się przypatrywałem. *Forysicem* kapitana, a więc dozorcą zwierzyńca był wtedy *Wenzel*. Postać jego do dnia dzisiejszego żywo tkwi w mojej pamięci. Atletycznej budowy, jasnych włosów, dużych oczów koloru wody, nosa potężnego nieco w górę wzniesionego, pod którym, że to wtedy regulamin wojskowy nie pozwalał rozrastać się wąsom, zalegała szeroka pusta przestrzeń O ta ogromna przestrzeń wychodząca od dziurek nosa, podobnych do luf dubeltówki, mierząca może ze trzy cale wiedeńskie, nadawała twarzy Wenzla nadzwyczaj pocieszny i pociągający spektatorów wyraz. Ale objaw ich wesołości hamowała zawsze imponująca powaga Wenzla i mars na czole, które ściągnięte w fałdy, a nader małych rozmiarów, przyzywało w pomoc skórę głowy, porośniętej włosem konopnym a twardym jak szczeć pewnego zwierzęcia. Choć Czech z rodu, zawsze mówił po niemiecku, ale tej niemieczczyzny żaden Niemiec by nie zrozumiał. Szczególnie popisywał się nią Wenzel w dnie niedzielne i świąteczne, gdy publiczność tłumami gapiła się i naciskała na trzeszczące sztachety, wówczas tubalnym głosem wołał: „*A ty zatraceny, wirst du nehmen die Hand deiniges!*“ lub: „*Proklata hovada, marsch bagaż ihriges!*“ Pomimo tego wszystkiego był dla mnie p. Wenzel wielkim człowiekiem. Raz dostałem był od ciotki nowego *cwancygiera*. Co tu z tak wielką sumą zrobić? Poszedłem po zwyczaju „patrzyć na lisa“, wnet też tam nadbiegłem, i stanąłem u sztachet, a wtem łapie mnie ktoś z tyłu za kołnierz, oglądam się, i widzę z przerażeniem srogą twarz p. Wenzla, z którego ust huczą mi w uszach groźne słowa: „*Zatraceny, wirstu sztajni werfe tu!*“ Zrazu nie mogłem, lubo nas tylko niemieckiego języka uczono, zrozumieć tej jowiszowej apostrofy cerbera zwierzyńcowego, domyśliwszy się jednak, że się gniewa, kiedy krzyczy, i gotów się zabrać do bolesnych argumentów, nie tracąc przytomności, sięgam do kieszeni po mój skarb, i wciskam go w dłoń rozsrożonego Wenzla. Puścił z rąk mój kołnierz, złagodniał wyraz twarzy, i miodowym głosem przemówił do mnie: „*A to ne oni, pane student!*“ Od tej chwili znał mnie, i szczególną obdarzał łaską. Czasem, ale bardzo rzadko, gdy był w dobrym humorze, pozwalał mi wejść do ogródka, a nawet do lisiej zagrody. Najgorętsze moje pragnienie było spełnione, mogłem patrzyć na lisa, i to blisko, a jaki tryumf wobec gapiącej się publiki! Ale dość tych rysów charakteryzujących Wenzla. Pewnej niedzieli przychodzę pod sztachety ogrodu, i słyszę wychodzący z jednej sąsiedniej kamienicy ogromny lament. Zdjęty ciekawością przybliżam się, i słyszę narzekania: „*Meine liebe Frau Nachbarinn, mein Azorl ist weg*“ — mówi z płaczem ferlegerka — „*heute, heute hat ihn der Schinder genommen.* — „A żeby go Bóg skarał za moją Fincię“, — skarży się wdowa po woźnym. Paniom tym poginęły pieski. Nie dosyć na tem, w poniedziałek zginął piesek mały p. A., we wtorek p. B. Jednem słowem ktoś tak oczyścił ulicę z piesków, iż w przeciągu dwóch miesięcy żadnego tam nie było jak to mówią: ani na lekarstwo. Tego już nadto było zacnym właścicielkom piesków, jedna poszła ze skargą na oprawcę do policyi, druga z żałobą na policyę do gubernatora, tak, że w końcu aż tenże kazał policyi tę sprawę rozjaśnić. Policya ciśnie oprawcę, ten udowadnia świadkami, że od pół roku nie był nawet na tej ulicy, za co kozą został skarany, lubo co do zatraty piesków zupełnie został uniewinnionym. Gdzież winowajca? a pieski jak ginęły, tak giną. Aż wreszcie przepada ulubiony piesek małżonki majora artyleryi. Tego już za wiele! Rumor i rwetes, śledztwa, patrole, areszta i kary dla straży. A pani majorowej Bóg nie dał dzieci, więc macierzyńską miłością otaczała małego szpica, białego jak mleko, z długim, zwiesistym do ziemi włosem, z czarnym noskiem, uszkami w górę wzniesionemi, i tym cudnym ogonkiem, kosmatym tak wdzięcznie zawsze zakręconym. Śliczne, miłe i ładne miało to być stworzenie, choć wedle zdania domowników wiecznie szczekające i złe jak osa. Pani majorowa pogrążona w żalu po stracie swego ulubieńca, wyszła na przechadzkę do ogródka, a przystąpiwszy do zagrody lisa widzi jakiś włos biały rozniesiony po całem obejściu, przystępuje bliżej, i nagle woła z rozpaczą: „*Herr Gott, das sind ja Haare von meinem Hunderl*“. Na ów głos nadbiega p. major w kostiumie bardzo defektowym i zastaje małżonkę zemdloną. Wieść o tym wypadku rozbiegła się szybko — wnet tłumnie zebrały się wszystkie opłakujące swe straty panie na walną naradę, i nie potrzebujemy dodawać, że hałasu było wiele, a skutku mało. Przedewszystkiem przystąpiono do starannego zbadania budki lisiej, za którą znaleziono mnóstwo przeróżnych obróżek. Kiedy je ztąd wynoszono, właścicielki piesków nieboszczyków, rzuciły się na nie, każda rwała ku sobie swoją całując i łzami rzewnemi oblewając tę drogą dla niej relikwię. — Naturalnie padło podejrzenie na Wenzla, więc go też natychmiast aresztowano. Gdyby nie silna eskorta wzbraniająca przystępu do obwinionego, byłyby niezawodnie jego nos, oczy, twarz padły ofiarą ostrych pazurków rozsrożonych pań. Z indagacyi prowadzonej przez samego p. auditora okazało się, że p. Wenzel owe sześć dudków przeznaczone na żywienie lisa sobie codzień przywłaszczał, ale zarazem czułem obdarzony sercem, i nie chcąc, by lis z głodu zginął, łapał pieski i podrzucał zgłodniałemu, który je żywcem pożerał. Gdy już piesków zabrakło zmuszony był rzucić na pastwę szpica pani majorowej, co ostatecznie, stało się powodem wykrycia całej sprawy i jego zguby, bo nie tylko ciężki *carcer* o głodzie odsiedział, ale użyto go potem do najcięższej służby. Lis przywykły do tłustego i smacznego pożywienia, nie chciał jeść mięsa, które mu dawano, sechł w oczach, posępniał, wreszcie zdechł.

Trzeba więc istotnie naocznym być świadkiem, aby uwierzyć, że lis, ów rabuś dziki i drapieżnik nie przebierający w pastwie, pożera nawet — pokojowe pieski, owe motory najczulszych uczuć naszych pań.

INSERATY.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.